W numerze: ANDRZEJ DZIERŻANOWSKI Radiacja i przemysł • EWA NURCZYŃSKA Dla kogo ten polski film? • STEFAN ATLAS Ulica Zielona nr 6 • Ekipa literacka kanclerza Brandta • Nowy konkurs „Wielcy Łodzianie" • Zewsząd o wszystkim • Nowela

odgłosy

1 (685)
3.I.1971 r.
Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XIV

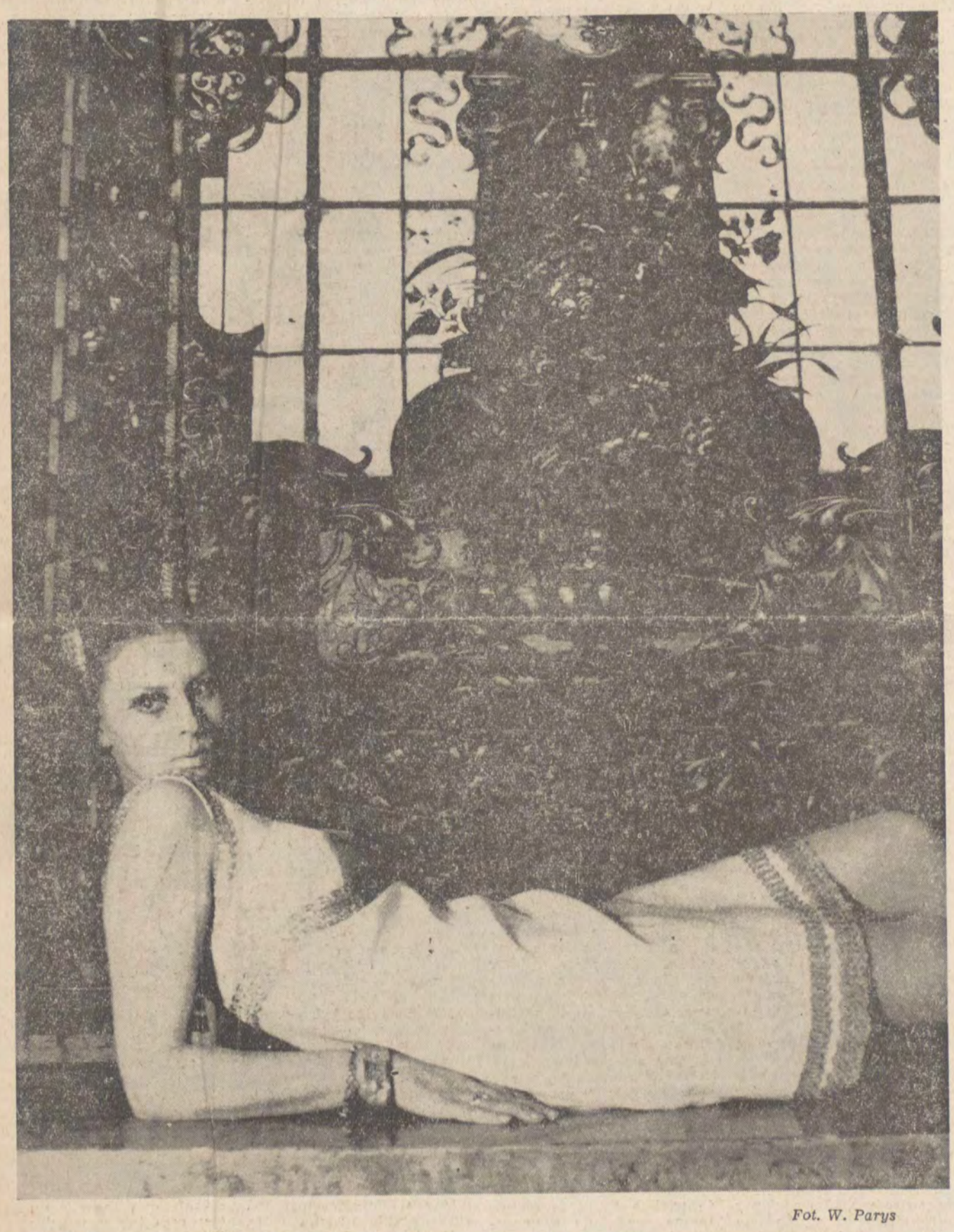

Fot. W. Parys

Doniosłe decyzje

Ostatnie dwa tygodnie minionego roku przyniosły dramatyczne wydarzenia na Wybrzeżu, które wstrząsnęły do głębi całym społeczeństwem. Wpłynęły one też na podjęcie doniosłych decyzji. Naród polski przyjął z uczuciem ulgi i aprobaty zmiany dokonane w Biurze Politycznym i wybór Edwarda Gierka na I sekretarza Komitetu Centralnego PZPR.

Przemówienie Edwarda Gierka, nadane przez wszystkie rozgłośnie Polskiego Radia i Telewizję odbiło się szerokim echem w całym kraju, jak również poza jego granicami. W Gdańsku, Gdyni, Szczecinie i Elblągu załogi zakładów i fabryk przystąpiły do pracy. W całym kraju zapanował duch ożywienia i nowe nadzieje. Wyraziły się one przede wszystkim w odrabianiu zaległości przez ludzi pracy, którzy w atmosferze powagi i odpowiedzialności przystąpili do realizowania zadań produkcyjnych.

Całe nasze społeczeństwo odczuło potrzebę powrotu do rzetelnego dialogu między nim i kierownictwem partii i rządu, do odbudowy zasad demokracji socjalistycznej na wszystkich szczeblach, zapowiedzianej przez I sekretarza Komitetu Centralnego naszej partii. Całe nasze społeczeństwo z ulgą i aprobatą przyjęło zapowiedź I sekretarza KC PZPR — Edwarda Gierka o przedsięwzięciu kroków zmierzających do poprawy sytuacji rodzin najmniej zarabiających i sytuacji pracujących kobiet, do rozważenia problemów mieszkaniowych, spraw naszej młodzieży.

Dalsze zmiany gospodarcze, mające na celu poprawę ogólnej sytuacji w kraju będą, oczywiście, wymagać dużo więcej czasu.

Niezmiernie ważną sprawą dla rozwoju kraju jest nadanie właściwego kierunku rewolucji

Dalszy ciąg na str. 2

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Wielka Pieniawa

MIAŁ lat dwadzieścia pięć, a może dwadzieścia siedem. Snuł się po miasteczku w rozchełstanej kurtce, wypłowiałych dżinsach i długich ubłoconych woderach. Ciągnął za sobą chroniczny odór przetrawionego alkoholu. Był wiecznie nastroszony, wściekły; kolebał się z nogi na nogę szarżując pochyloną głową, toteż ludzie ustępowali mu z drogi, gołębie, wrony i oswojone wiewiórki pierzchały przed nim na drzewa, nawet psy kuliły się w bramach, żeby nie zarobić kopniaka.

Wymijałem go z daleka, żeby zaoszczędzić sobie nerwów, ale kiedyś zdybał mnie przy kiosku jak ku powałem papierosy i gazety.

— Daj zapalić.

Podsunąłem mu grzecznie świeżą paczkę zenitów. Wyłuskał od razu pięć sztuk, zezując czujnie zmrużonymi oczami.

Chciałem odejść, lecz przytrzymał mnie za ramię.

— Zadowolony jesteś? — zapytał.

— Tak.

— Z czego

— Ze wszystkiego.

— A bardzo jesteś zadowolony?

— Bardzo.

— To w porządku. Lubię jak mnie chwalą.

Czułem do niego głęboką odrazę. Gdybym był silniejszy, huknąłbym go pewnie w ten bezczelny pochylony łeb. Miałem go za tuzinkowego obiboka, cwaniaka, który spalił się w wielkim mieście i przyjechał do tego malowniczego górzystego kurortu odegrać się na całym świecie.

Ale sprawa wyglądała inaczej.

Pewnego wieczoru wstąpiłem do ewupowskiej kawiarenki; grała muzyczka; w mrokach przyćmionych lamp, w kłębach dymu kuracjusze i wczasowicze łączyli się skwapliwie w pary; perkusista mieszał ostro na werblu, a jak mnie zobaczył, to się ucieszył; krzyknął coś ponad głowami tańczących ludzi; podszedł w przerwie między jedną trójką a drugą i zapytał, czy go poznaję.

— A jak się nazywasz?

— Finder na mnie mówili. Pamiętasz?

— Pamiętam — powiedziałem i wygrzebałem z kurzu zapomnienia jego twarz; chałturzył kiedyś w łódzkich knajpach i nagle zniknął jak kamfora; wieść krążyła że wyjechał właśnie tu, do spokojnej górskiej mieściny; spłatał dziecko, ożenił się i wrósł na dobre w jałową glebę, rzeźbiąc od przypadku do przypadku na bębenkach.

Wyglądał niekiepsko. Pogadaliśmy trochę. Poszedł grać. Wrócił. Znowu pogadaliśmy. Znowu zagrał. Zbiegły tak dwie godziny.

Dalszy ciąg na str. 4

Doniosłe decyzje

Dalszy ciąg ze str. 1

naukowo-technicznej, bowiem bez wysokiej techniki trudno dziś mówić o nowoczesnym państwie socjalistycznym. Trzeba wreszcie odrzucić konserwatyzm i rutyniarstwo, jako zjawiska obce socjalizmowi, działać operatywnie i skutecznie.

Jednakże wszystko, co korzystne, potrzebne i pożyteczne możemy osiągnąć tylko w warunkach spokoju, powagi i poczucia głębokiej odpowiedzialności za losy kraju. Wymagają tego najbardziej istotne interesy naszego państwa. Wymagają tego nie tylko nasze wewnętrzne, domowe interesy, lecz również stosunki ze światem zewnętrznym, więc sojusze Polski z krajami socjalistycznymi, a przede wszystkim ze Związkiem Radzieckim, które gwarantują nasze bezpieczeństwo i nasze granice. Najistotniejsze interesy Polski — to także rozwijanie pokojowej współpracy z innymi państwami, popieranie i udział we wszystkich inicjatywach, które zmierzają do odprężenia w Europie. Jedną z nich jest podpisany ostatnio układ z NRF.

Kierownictwo partii udzieliło społeczeństwu samokrytycznej i szczerej odpowiedzi, w której między innymi oświadcza:

„Ostatnie wydarzenia przypomniały nam w sposób bolesny tę podstawową prawdę, że partia musi zawsze utrzymywać ścisłą więź z klasą robotniczą i całym narodem, że nie wolno jej utracić wspólnego języka z ludźmi pracy".

Decyzje partii zmierzają właśnie do odbudowy tej więzi. Stanowi to podstawę realnego rozwiązania trudnych problemów, które stoją dziś przed naszym krajem i narodem.

Całe społeczeństwo popiera czynem postanowienia VII Plenum Komitetu Centralnego, widząc w nich podstawę do rozwiązania nabrzmiałych konfliktów społecznych i podjęcia takich decyzji, które zapewnią dynamiczny i harmonijny rozwój kraju. Robotnicy, inteligencja, chłopi i wszyscy ludzie pracy dają wyraz temu poparciu dla nowego kierownictwa partii swoim codziennym trudem, zrozumieniem wagi chwili, gotowością zwiększenia swego osobistego wysiłku, by pomóc w przezwyciężeniu trudności, w jakich znalazł się kraj. Niektóre zakłady pracy podejmują dodatkowe zobowiązania.

W Łodzi, w tragicznych dniach grudnia, łódzcy włókniarze, robotnicy fabryk metalowych i chemicznych, nasi budowlani, a w szczególności nasze ciężko pracujące łódzkie kobiety, mimo rozgoryczenia, zrozumiałego w tych dniach, zachowali rozwagę i powagę, wykazali wysokie poczucie odpowiedzialności za losy kraju i swego miasta. Za tę postawę, głębokie uznanie i słowa gorącego podziękowania wyraził im, w imieniu łódzkiej organizacji partyjnej, I sekretarz Komitetu Łódzkiego PZPR — Józef Spychalski.

Dokonane na VII Plenum Komitetu Centralnego zmiany w kierownictwie partii spotkały się z gorącym, całkowitym poparciem łódzkiej klasy robotniczej, wszystkich ludzi pracy naszego miasta.

*

Na sesji sejmowej, odbytej 23 XII. ub. r. dokonano zmian na wysokich stanowiskach państwowych, o czym szczegółowo poinformowała prasa codzienna. Równocześnie w 106 wybranych zakładach pracy na terenie całego kraju przeprowadzono konsultacje z przedstawicielami klasy robotniczej w sprawie podwyżek dla pracowników najmniej zarabiających, rodzin wielodzietnych i rencistów. Ta nowa forma rozmów z robotnikami spotkała się z całkowitą aprobatą naszego społeczeństwa.

Haszysz na tony

„SPIEGEL" — HAMBURG

Zaledwie rok temu, w instrukcji dla policji kryminalnej prowincji Badenia-Wirtembergia (NRF), czytaliśmy między innymi: „Obecnie, tak zwane klasyczne narkotyki — opium, morfina, heroina i kokaina — nie są już dla nas groźnym problemem. Skonfiskowane zapasy narkotyków oblicza się na gramy..."

Teraz mówi się o kilogramach środków narkotyzujących, a zapasy haszyszu, wykryte przez policję, idą w centnary i tony.

Informując o wynikach prowadzonych akcji, policja podaje, iż wykryte do tej pory ilości narkotyków to tylko „nadwodna część morskiej góry lodowej". Według niektórych danych, skonfiskowane zapasy narkotyków stanowią zaledwie dziesiątą część tego, co znajduje się na czarnym rynku. Komisarz policji w Stuttgarcie sądzi, że jest to trzy do pięciu procent ogólnej masy narkotyków, zaś w Berlinie zachodnim stosunek ilości wykrytych narkotyków do ilości nie ujawnionych ma się jak 1:300!

Szczególny niepokój budzą doniesienia o nieustannym wzroście liczby młodocianych, zażywających narkotyki. Z liczby 219 osób, które naruszyły ustawę o środkach narkotyzujących w kraju Szlezwik-Holsztyn, tylko około czterdziestu ukończyło 21 lat, a dwoje spośród nich miało poniżej 14 lat... Wyniki badań, przeprowadzonych przez grupę lekarzy z uniwersytetu zachodnioberlińskiego wskazują na fakt doprawdy przerażający: liczba młodych ludzi, permanentnie poddających się zgubnemu działaniu narkotyków, względnie znajdujących się na tej drodze, rośnie w zastraszająco szybkim tempie.

Chroniczne zażywanie narkotyków prowadzi do otępienia umysłowego. Z następstwami alkoholizmu lecznice psychiatryczne jeszcze jakoś sobie radzą. Obecnie, gdy rynkiem narkotyków zawładnęli gangsterzy, szpitale są tak samo przepełnione, jak i komisariaty policji.

Jeszcze jakieś dziesięć lat temu takie pojęcia, jak „narkotyk" i „narkomania" wywoływały określone, negatywne asocjacje. Jednakże te ustalone już pojęcia uległy zmianie od czasu, gdy w połowie lat sześćdziesiątych rozpoczęto w Stanach Zjednoczonych masowe „eksperymenty z narkotykami". Prasa zaczęła jawnie propagować tak zwane „bezpieczne" rodzaje narkotyków, jak na przykład haszysz i LSD. Co dziwniejsze „teorie" owe podtrzymywało wielu dziennikarzy, pisarzy, a nawet niektórzy lekarze, twierdząc, iż środki narkotyzujące wyrządzają mniejsze szkody niż alkohol.

Falą narkomanii, zalewająca Amerykę, ogarnęła także Europę zachodnią. Najpierw zaatakowała Anglię i kraje skandynawskie, po czym potoczyła się dalej, na Niemcy zachodnie, a następnie — ale już nieco wolniej — na Włochy.

W początkach tego roku, brytyjskie Ministerstwo Spraw Wewnętrznych zarejestrowało 2.700 osób zażywających heroinę (w 1960 roku było ich 98). Jeśli w ciągu najbliższych dwóch lat fala narkomanii nie opadnie, to, jak się przewiduje, armia konsumentów heroiny wzrośnie do około dziesięciu tysięcy osób.

Według ostatnich doniesień, w Szwecji zażywa narkotyki przeszło dziesięć tysięcy osób.

W Stanach Zjednoczonych zarejestrowano około 60 tysięcy ofiar heroiny, z czego połowa mieszka w Nowym Jorku. Wszelako eksperci utrzymują, iż w rzeczywistości liczba ta jest wielokrotnie większa i orientacyjnie określają ją na około pół miliona.

Wszelkie próby rozprawienia się z „heroinową dżumą" nie dały rezultatów. W końcu ubiegłego roku, władze USA podjęły kroki zmierzające do zlikwidowania handlu haszyszem, który szerzy się w błyskawicznym tempie. Udało się przejściowo ograniczyć przywóz haszyszu z Meksyku. Było to jednak pyrrusowe zwycięstwo: w wyniku zmniejszenia podaży haszyszu gwałtownie wzrosła jego cena, wskutek czego relatywnie stała się znacznie tańsza heroina.

Lekarze są częstokroć bezsilni wobec następstw używania narkotyków. Główną przyczyną śmiertelnych wypadków jest zbyt silna dawka narkotyku. Handel heroiną odbywa się nielegalnie i dlatego na ampułkach nie wykazuje się stopnia koncentracji roztworu, przygotowywanego w dodatku w bardzo wątpliwych nieraz „laboratoriach", a zatem może on zawierać równie dobrze 6 miligramów heroiny jak i 30.

Zachodnioberlińscy specjaliści z zakresu zagadnień walki z narkomanią, po przebadaniu 237 pacjentów odnotowali fakt nader interesujący: najczęściej wymienianym powodem zażywania narkotyków był „protest przeciwko panującemu ustrojowi społecznemu". Miejscem najostrzejszych sprzeczności społecznych są Stany Zjednoczone. Dlatego też wielu badaczy nie oparło się pokusie ujęcia kwestii narkomanii, jako zjawiska typowego dla USA. Jednakże podobne drogi jego rozwoju w Wielkiej Brytanii, Szwecji, Niemczech zachodnich i gdzie indziej obaliły taki punkt widzenia.

Psychiatrzy nie wierzą, że młodym narkomanom można pomóc, stosując li tylko klasyczne metody leczenia. Po opuszczeniu szpitali młodzież znów trafia w orbitę tych samych problemów, od których próbowała uciec, zatracając się w iluzorycznym świecie narkotycznego odurzenia. Tak rozpoczyna się recydywa.

Jeśliby pokusić się o rozwiązanie tego problemu drogą surowej kontroli przywozu i handlu narkotykami, a także konfiskaty zapasów środków narkotyzujących — to okaże się, że jest to niemożliwe. Po prostu dlatego, że wielkie firmy farmaceutyczne produkują i importują legalnie — i nie podlegają surowej kontroli — ogromne ilości przeróżnych leków, zawierających narkotyki.

Na początku 1970 roku Ministerstwo Zdrowia NRF powołało specjalną komisję, która miała zbadać przyczyny i określić skalę szerzenia się narkomanii. Wywiadu na ten temat udzielił dyrektor kliniki psychiatrycznej uniwersytetu frankfurckiego, prof. Hans J. Bohnik:

Pytanie: W czym upatruje pan główne przyczyny obecnej fali narkomanii?

Odpowiedź: W odosobnieniu ludzi. W ich alienacji, w niepewności jutra. Wewnętrzna niepewność, brak celów życiowych zderzają się z możliwością stworzenia sobie iluzji przy pomocy haszyszu, i ucieczki od wszystkich trosk codziennego życia.

Pytanie: Czy, zdaniem pana, na powstanie i szerzenie się narkomanii mają wpływ takie czynniki socjalne, jak: przeciwieństwa interesów klasowych, bezrobocie, wysokie podatki?

Odpowiedź: Z pewnością. Ale konkretnie mówić o wpływie tego czy innego czynnika jest na razie jeszcze bardzo trudno.

Pytanie: Jakie istnieje prawdopodobieństwo wyleczenia się z tego rujnującego nałogu?

Odpowiedź: Jeśli mowa o chorych, którzy zażywają silne narkotyki, to rokowania na wyleczenie są nikłe. Leczenie ma perspektywy powodzenia tylko wówczas, gdy idzie ono w parze z odpowiednią akcją wyjaśniającą, swego rodzaju psychoterapią. W tym wypadku pomoc naszego punktu konsultacyjnego jest skuteczna.

Pytanie: A jeśli młody człowiek wyrazi chęć leczenia się w klinice lub sanatorium?

Odpowiedź: Nie mamy takich sanatoriów. We Frankfurcie nad Menem nasza klinika jest jedynym zakładem, udzielającym pomocy chorym narkomanom.

Pytanie: Czy epidemia narkomanii wygaśnie w najbliższym czasie?

Odpowiedź: Na razie jesteśmy świadkami szybkiego narastania tej fali. O ile międzynarodowy przemyt narkotykami znajdzie i u nas podatny grunt, trudno będzie opanować narkomanię w najbliższej przyszłości.

Führer z przedmieścia

„FIB — AKTUELT" — SZTOKHOLM

„Zbudujemy baraki obozowe, otoczymy je drutem kolczastym i zamkniemy tam wszystkich bezrobotnych, wałkoniów, mądralów i inne niespokojne elementy, aby nie przeszkadzali porządnym ludziom" — tak rozpoczyna swój wywiad dla pisma „FIB — Aktuelt" fuehrer szwedzkich faszystów, Evan Uredsson.

Spotkanie odbyło się na jednym z przedmieść Sztokholmu, w lokalu sztabu tzw. „Skandynawskiej partii państwowej", ozdobionym nazistowskimi flagami i portretem Hitlera.

—Wasz stosunek do problemów rasowych?

— Mieszanie się ras jest absolutnie niedopuszczalne!

— Wasze zdanie o Hitlerze?

— Chylimy przed nim czoła.

— Ale to przecież on rozpętał wojnę i wymordował miliony ludzi w obozach koncentracyjnych!

— Nic podobnego. On chciał tylko odzyskać rdzenne ziemie niemieckie. A wszystko, co mówi się teraz i pisze o Hitlerze i narodowym socjalizmie jest łgarstwem i oszczerstwem. Mówią bzdury o Oświęcimiu, Dachau, Buchenwaldzie. A czy one w ogóle istniały?

— Istnieją przecież fotografie, filmy dokumentalne...

— Bzdet! Wszystkie te „dowody" spreparowali sprzymierzeńcy dla potrzeb procesu w Norymberdze...

— Niech pan powie coś o swojej partii i jej celach.

— Trzydzieści siedem organizacji partyjnych w całym kraju grupuje dwanaście tysięcy członków. Utrzymujemy ścisłe kontakty z bratnimi partiami w Norwegii, Danii i Finlandii. Nasz cel — zjednoczenie Skandynawii.

Te buńczuczne słowa brzmiały jeszcze dziennikarzom w uszach, kiedy wyszli na świeże powietrze z wstrętnie woniejącej nory tego operetkowego fuehrera. Obyśmy się tylko nie doczekali wyjścia nazistowskiego tchórza z jego nory.

Mają dość amerykańskich specjalistów

„NATION" — NOWY JORK

„On ma tylko jedną wadę: jest Turkiem" — powiedziała o swoim koledze pielęgniarka z jednostki amerykańskiego lotnictwa wojskowego, stacjonującej w Turcji.

Taki stosunek Amerykanów do miejscowej ludności nie jest czymś niezwykłym, czy odosobnionym. Turcy doskonale pamiętają incydent, kiedy to trzech pijanych lotników amerykańskich spaliło turecką flagę.

Obecnie przebywa w Turcji 18 tysięcy żołnierzy i oficerów amerykańskich oraz ich rodziny. W Ankarze lotnicy USA nie mieszkają w swych bazach, lecz w centrum miasta.

Antytureckie nastroje rodziców udzielają się dzieciom. Antagonizmy zaszły już tak daleko, że dzieci Amerykanów znęcają się nad swymi rówieśnikami — Turkami. Dzieci tureckie stawiają opór. Opór stawia również młodzież szkolna i uniwersytecka. Latem tego roku studenci gonili po ulicach miasta kilkudziesięciu amerykańskich marynarzy, wreszcie dopadli ich i wrzucili do Bosforu.

We wrześniu, ostatni z 500 specjalistów amerykańskiej organizacji pomocy dla krajów rozwijających się opuścił Ankarę. Większość z nich prowadziła wykłady języka angielskiego w wyższych uczelniach stolicy i Stambułu. Któregoś dnia studenci ogłosili bojkot wykładów i oświadczyli, że dopóty nie przyjdą na zajęcia, dopóki przedstawiciele tej organizacji, których uważali za agentów CIA, nie zostaną wydaleni z Turcji.

W następnym numerze „ODGŁOSÓW":

★ **Jan Koprowski** — Dziennik podróży

★ **Karol Badziak** — Miasto krawców mężczyźnianych

★ **Janusz Dunin** — Wstęp do komiksologii,

oraz recenzje, felietony, nowela kryminalna.

EWA NURCZYŃSKA

Dla kogo ten polski film?

Scena z filmu „Prom". Reżyser: Jerzy Afanasjew.

PYTANIE WYJŚCIOWE: czy, zważywszy fakt, że wśród dwudziestu kilku filmów rocznej produkcji danej kinematografii znajdziemy zaledwie dwie pozycje artystyczne klasy wybitnej, mamy prawo uważać, iż jest to kinematografia mierna, mało ambitna? Pytanie to trudno uznać za retoryczne. Kibice polskiego filmu odpowiedzieliby zapewne, iż arcydzieła nie rodzą się na kamieniu i „Sól ziemi czarnej" oraz „Krajobraz po bitwie" tegoroczne oczekiwania na wybitne wydarzenia artystyczne satysfakcjonują w dużym stopniu.

PYTANIE NASTĘPNE: skąd więc tyle żalów, ba, pretensji wobec filmów polskich 1970 roku u tych samych kibiców? Czemu świecą pustkami widownie kin, które przecież nie mogą liczyć tylko na wiernych i poszukujących przyjaciół polskiego filmu, lecz na publiczność, która do kina przychodzi, wcale nie kierując się uczuciami sympatii i wyrozumiałości dla rodzimej kinematografii, która kieruje się różnymi kryteriami wyboru i ocen, ale ze swego punktu widzenia zawsze szuka dobrego filmu.

Na te pytania odpowiedź jest o tyle trudniejsza, że szukać jej trzeba po obu stronach układu film — odbiorca. Przyjrzyjmy się temu układowi bliżej, mając na uwadze to, co polska kinematografia w 1970 roku zaproponowała.

Nagrzeszyło polskie kino w tym roku, to prawda. Zacznijmy jednak przekornie od winy tych, którzy tylko na pozór są niewinni. W oczach tych, którzy obejrzeli „Sól ziemi czarnej" K. Kutza grzechem głównym będzie fakt — że film ten nie doczekał się w polskich kinach swej publiczności. Jeden z najpiękniejszych, jakie kiedykolwiek można było zobaczyć, film, obdarzony tak rzadko dziś osiągalną siłą wzruszania, co więcej, film, w którym każdy dla siebie coś mógł odnaleźć, przeszedł przez ekrany nie dostrzeżony, nie mal zignorowany. Nikt i nic nie zdołało przełamać mniemania, że film ukazujący odległe dziś wydarzenia społeczno-polityczne może być filmem naprawdę znakomitym i to nie tylko w odczuciu miłośników i znawców sztuki filmowej, ale i masowego widza.

Podobny los spotkał dwie inne pozycje, jeśli już nie wybitne, to na pewno godne uwagi i wysokiej oceny: „Dziura w ziemi" A. Kondratiuka i „Znaki na drodze" A. Piotrowskiego. Pierwszy — bardziej nowoczesny, drugi, rzecz można, bardziej tradycyjny w formie, a więc zdawałoby się, że i te kryteria odbioru dawały im pewne szanse. Jeden i drugi podejmował problemy współczesności, stawiał przed pozycje różnych, ale przecież pozytywnych bohaterów, jeden i drugi uciekał od schematów. I znów moglibyśmy tłumaczyć polską publiczność, że tyle razy zniechęcano ją niewypałami tzw. filmów współczesnych, że nikt ją na film tego typu nie namówi.

A może nadeszła pora, by spojrzeć wreszcie prawdzie w oczy i uświadomić sobie fakt, że liczenie na szeroką publiczność, na jej czynne uczestnictwo w spektaklach kinowych, w wybitnych wydarzeniach artystycznych jest tylko mrzonką, że oderwanie jej sprzed ekranów telewizyjnych, zaspokajających dziś „głód fabuł" nie leży w możliwościach filmu ambitnego, że kończy się również era kina, dotychczas głównego dostarczyciela rozrywki.

Konsekwencją tej wątpliwości byłyby wówczas pytania następne — jakie i dla kogo mają być dziś filmy? Odpowiedzi na nie na pewno nie znajdziemy w aktualnej polskiej produkcji filmowej.

Brak sukcesu filmów wyżej wspomnianych (a można by tu dołączyć znacznie większą liczbę wybitnych filmów zagranicznych, które przepadły u szerokiej publiczności) dowodzi, że trzeba dziś sztukę filmową traktować tak jak i każdą inną. Nie jest ona tylko towarem, którym się handluje, który musi przynieść duże pieniądze. Kino artystyczne, tak jak każda inna sztuka, winno mieć swe prawo do pewnej elitarności, jego adresatem winien być odbiorca odczuwający potrzebę wyboru takiego przeżycia intelektualnego i artystycznego, jakie jest mu w stanie dostarczyć właśnie, a może czasami, tylko kino. Ci odbiorcy odnajdą na pewno „Sól ziemi czarnej", „Personę", czy „Medium cool", czekają na ambitne polskie filmy, u nich też film polski, wyprany z myśli i stareńki w formie szans nie ma żadnych. Czymże usatysfakcjonują tych odbiorców takie na przykład tegoroczne płody, jak „Prawdzie w oczy", „Mały", „Prom", „Ostatni świadek", „Nie ma powrotu, Johnny", „Romantyczni"? Co te filmy w swym nurcie współczesnym wnoszą w dyskusję o dzisiejszym świecie i jego ludziach, co niosą prawdziwego li tylko w swej warstwie obserwacyjnej — gra pozorów jest ich wyróżnikiem głównym, do którego dodać można jedynie indolencję formy.

W którym z filmów powracających do wojennej przeszłości odnaleźliśmy próbę uogólnień a potem interpretacji? Powroty li tylko do tematu mniej lub bardziej dramatycznego („Album polski"), mniej lub bardziej sensacyjnego („Prom") to dziś już za mało. Jedna z ostatnich tegorocznych premier, czyli „Romantyczni" Różewicza stawia kropkę nad „i" całej sprawie.

Brzmi to jąk banał, ale dzisiejszy film polski prawie oń prosi. Czy jego bohaterami są ludzie czasów romantycznych, czy ostatniej wojny, czy nasi współcześni, wszyscy proszą o jedno — trzeba wiedzieć, co się ma o nich do powiedzenia. Jeśli to jest niewiadomą, lepiej zmienić profesję, zwłaszcza wówczas, gdy jej warsztatowe tajniki też nie zostały jeszcze odkryte.

Powróćmy jednak do owego układu film — odbiorca, gdyż pojęcie kina elitarnego nie odnosi się w naszym rozumieniu do wąskiego grona tzw. znawców czy smakoszy sztuki filmowej. Kino może w dalszym ciągu liczyć na znaczną rzeszę widzów rekrutujących się z różnych środowisk, choć stawiać chyba musi przede wszystkim na szerokie kręgi inteligencji i, o czym świadczą fakty socjologiczne, na młodzież. Musi jednakże, głównie w swym nurcie filmu ambitnego, mieć świadomość warunków swych szans u określonego adresata, znać jego wymagania i wyciągać z tego wnioski. Tegoroczną produkcję polską poza wszystkimi niedostatkami, charakteryzował zaś ów fakt nieświadomości tego, dla kogo te filmy się realizowało.

Dojrzali, świadomi odbiorcy, poza nielicznymi wypadkami, wychodzili z kina bardzo zdegustowani. Młodzież szukająca w nim szansy dla właściwej wiekowi potrzeby dyskusji o nurtujących ją problemach natury politycznej, społecznej, obyczajowej i moralnej — szansy tej nie znajdowała. Ci zaś widzowie, dla których kino stanowi jeśli nie jedyną, to główną — rozrywkę, mogli ją znaleźć chyba tylko w komedii „Jak rozpętałem II wojnę światową", bo już kostiumowy „Lokis" czy „Romantyczni" warunków tych w pełni nie spełniły (można mieć wątpliwości czy dlatego, że były inspirowane głębszymi ambicjami).

Należy zastrzec się tu, iż dzielenie widzów i filmów na określone grupy kryje w sobie wiele niebezpieczeństw, prowadzących do schematów, że autentyczny, żywy rytm rozwojowy żadnej ze sztuk, a także jej odbiorców na takie schematy nie pozwala. Że życie samo i czas schematy te na szczęście burzy. Wydaje się jednak że nadszedł obecnie czas burzenia również tego schematu, w który wtłoczono film polski, uważając, że realizuje się go dla wszystkich, że jest przemysłem i w związku z tym musi przynieść dochód.

Doświadczenia wielu ostatnich lat uczą potrzeby odwagi — nie wolno bać się filmów, które nawet nazwiemy elitarnymi, jeśli mieć się będzie świadomość tej elitarności określoną przez specyfikę życia społeczno-kulturalnego, wymagającego kina artystycznego o wysokich walorach poznawczych i wychowawczych. Z drugiej zaś strony nadal istnieje potrzeba realizacji filmów, nie wyrzekajmy się tej nawzwyczajowych, masowych, o dużym stopniu atrakcyjności, która zdolna będzie przyciągnąć do kina szerokiego widza. Powojenne doświadczenia naszej kinematografii dowodzą, że nasi twórcy nie są zbyt sprawni ani w realizacji komedii, ani filmów muzycznych. Próby sił na innych polach filmu rozrywkowego nie odnotowaliśmy. Jedyne wielkie sukcesy odniosły filmy, które firmowały nazwiska wielkich klasyków polskiej literatury, tego tropu gubić zatem chyba nie wolno, wstydzić się tych zależności też nie trzeba.

Mówiąc zaś o tym, że sztuka sama wymyka się wszelkim próbom kategoryzowania, przywołajmy z przeszłości sukcesy wśród szerokiej publiczności takich filmów, jak „Popiół i diament", „Popioły", „Westerplatte" i innych, by przypomnieć starą prawdę, że sztuka broni się sama i drogi jej sukcesów nie zawsze można przewidzieć. Wspominając zaś jeszcze raz filmy ostatniego roku podkreślmy, iż były one w swych sukcesach i porażkach znamienne.

Sukcesy artystyczne nie równały się sukcesom kasowym, nie płaczmy jednak z tego powodu, to nic nienaturalnego, gdy na sztukę filmową spróbujemy patrzeć innym okiem. Przeraża jednakże mnogość filmów letnich i nijakich, filmów bez adresata, akceptowanych dla produkcji bez rozwagi, zrealizowanych prymitywnie. Martwi brak uczciwych — bo określonych celem — sprawnie zrealizowanych filmów masowej rozrywki, brak filmów dla młodzieży, nie mówiąc już o dzieciach.

Dla kogo więc ten polski film się realizuje?

Nowy konkurs • **Nowy konkurs** • **Nowy konkurs** • **Nowy konkurs**

WIELCY ŁODZIANIE

DRODZY CZYTELNICY! W ciągu najbliższych tygodni zaprezentujemy Wam serię sylwetek postaci historycznych, związanych z Łodzią. Zadaniem Waszym będzie odgadnięcie tych postaci. Zasady są takie same jak w konkursie „Czy znasz architekturę Łodzi" — w losowaniu nagród wezmą udział zarówno odpowiedzi tylko na jedno z zadań konkursowych, jak i na wszystkie prezentowane w ciągu najbliższych tygodni. Oczywiście, systematyczny udział w naszym konkursie zapewnia uczestnikom większe szanse w losowaniu.

Odpowiedzi wyłącznie na kartkach pocztowych — należy nadsyłać na adres: **„Odgłosy", Łódź, Piotrkowska 96 — „WIELCY ŁODZIANIE".**

Wśród uczestników konkursu rozlosowane będą trzy główne nagrody w postaci bonów towarowych.

I nagroda — 2 tysiące złotych
II nagroda — 1,5 tysiąca złotych
III nagroda — 1 tysiąc złotych

oraz pięć wyróżnień w postaci cennych wydawnictw albumowych.

ZADANIE KONKURSOWE NR 1

Urodził się w 1775 roku — zmarł w 1841. Był działaczem politycznym tamtych lat, choć z wykształcenia był wojskowym — ukończył bowiem Szkołę Rycerską i to ze złotym medalem. W karierze politycznej doszedł aż do funkcji marszałka Sejmu w 1820 roku, ale dla Łodzi szczególne są jego zasługi jako prezesa komisji województwa mazowieckiego. Był człowiekiem wielkiej wiedzy prawniczej i administracyjnej — publikował prace m. in. „O miastach", „O urzędnikach"... Najbardziej jednak znane są jego „Raporty", w których pisze o Łodzi: *„W przytomności mojej wytknął jeometra linie, podług których w przyszłości domy odbudowanymi, a w czasie ulice albo rozszerzonymi, albo na nowo, w miarę potrzeby przeprowadzonymi być mają..."* Był bezpośrednim organizatorem Łodzi przemysłowej. Miał na imię Rajmund a jego potomkowie do dziś mieszkają w Łodzi. Jak brzmi jego nazwisko?

Wielka Pieniawa

Dalszy ciąg ze str. 1

Przed dziesiątą, kiedy ludzie rozchodzili się do domów, w opustoszałym lokalu pojawił się człowiek w spłowiałych dżinsach i długich ubłoconych woderach.

Wypił przy bufecie butelkę żywca, zapalił papierosa i zniknął.

— Znasz go? — zapytałem perkusisty.

— Jasne.

— Kto to jest?

— Ej — powiedział perkusista. — Przecież i ty go znasz.

— Nie — powiedziałem. — Jak się nazywa?

— On jest z Łodzi. Lewandowskiego nie pamiętasz? Teraz mówią na niego Wielka Pieniawa.

— Pieniawa to jest woda mineralna niewysłowionej dobroci.

— Aha. On może nie jest taki dobry. Nadaje się za to na reportaż...

— Mów — powiedziałem.

— Cztery lata temu mieszkał na Polesiu i szlajał się po najgorszych łódzkich spelunkach, ale był z porządnej rodziny i nosił w kieszeni dziesięć klas. Kłuł tym w oczy przy każdej okazji. Miał zawsze w pogotowiu parę zdań po angielsku i parę po francusku i jak się upił, chłopaki nie mogli się z nim dogadać, a jak był trzeźwy, jeszcze bardziej zadzierał nosa, krzyczał, że normalnie to powinien pracować już jako inżynier czy lekarz; gdyby nie umarli mu rodzice, krążyłby teraz po mieście własnym samochodem, mieszkał w luksusowej willi na przedmieściu i nie musiał szukać towarzystwa różnych mętów społecznych i pijaków. Mówić dalej?...

— Mów.

— Więc szlajał się tak i szlajał i trwałoby to chyba do dzisiaj, ale nagle w jego życiu pojawił się wątek miłosny — dziewczyna, z którą mieszkał na jednej ulicy i chodził kiedyś do powszechniaka, młodsza od niego o jakieś pięć lat, ładna, zgrabna, też z porządnej rodziny... Zaczęła mu wiercić dziurę w brzuchu, żeby się przestawił, zerwał z ferajną, pijaństwem, pomyślał o przyszłości. Zdała akurat do jedenastej klasy i powiedziała, że on też musi zacząć się uczyć. Kupiła dla siebie i dla niego dwa komplety podręczników i po wakacjach znowu chodzili razem do tej samej szkoły, do maturalnej klasy, z tym, że ona nosiła tarczę na ramieniu i rozpoczynała naukę od rana, a on startował po południu. Z początku wstydził się teczki i chłopaków, ale po trzech miesiącach przyzwyczaił się jakoś, a że uczył się po nocach — zdolny był, trzeba przyznać — na półrocze miał same piątki i czwórki, prymusem został i dziewczyna, która na początku udzielała mu pomocy w lekcjach, w trzecim kwartale korzystała z jego pomocy, bo lepszy był, z wyjątkiem rosyjskiego, we wszystkich przedmiotach. Oboje zdali bardzo dobrze maturę i przygotowywali się do egzaminów na studia, a jej rodzice pogodzili się w końcu z myślą, że będą mieli, tylko patrzeć, zięcia... Mówić dalej?

— Mów.

— On w dalszym ciągu troszeczkę popijał, ale tylko — jak szofer — z soboty na niedzielę, i nie w knajpach, a w domu, samotnie. Ona chyba o tym wiedziała, nie robiła mu awantur, bo przecież nie było o co. W lipcu poszli razem na egzamin. Ona zdała z najwyższym trudem, on miał już wtedy pewność siebie i ogromną siłę przebicia, więc przeszedł jako jeden z pierwszych i niewiele brakowało, żeby z różowymi, młodszymi o pięć, sześć lat od siebie prymusfka mi stanął podczas uroczystego otwarcia roku akademickiego do immatrykulacji. Dziewczyna była dumna z niego jak pawica. Wyjechali razem na wakacje. On miał pięćset złotych, ona dostała od rodziny dwa tysiące. Po trzech tygodniach skromnego życia na Wybrzeżu zostali bez pieniędzy. Chciał wracać, ale ona powiedziała zaczekaj, przecież mam rodzinę. Wysłała telegram i po paru dniach przyszły posiłki, ale niewielkie... Lato w pełni, a oni są znowu bez grosza. Jego palił wstyd i ambicja, że jak to: starszy od niej i mocniejszy, a nie potrafi dziewczynie zapewnić słonecznego wypoczynku? Teraz ona powiedziała: wracamy. Bała się nadużyć rodzinnej cierpliwości. Teraz on powiedział: zaczekaj, przecież mam dwie ręce, zarobię jako kelner, albo będę pomagał rybakom i przesiedzimy jakoś lato nad morzem, żeby nabrać sił do nauki. Mówić dalej?

— Mów.

— Uważaj, teraz będzie najciekawsze: on wcale nie myślał o włamaniu, chociaż, szczerze mówiąc, miał za swoich złych dni to i owo z tych rzeczy na koncie. On naprawdę chciał popracować jako kelner w mordowni, ale wszystkie etaty były obstawione przez studenciaków i rozmaitych sezonowych pracusiów. Próbował w tartaku, w spółdzielni rybackiej i jeszcze w paru miejscach, lecz wszędzie był komplet. I wtedy stanął na jego drodze pewien doliniarz. Zaczął go namawiać na skok. Wielka Pieniawa nie od razu dał się przekonać. Wiedział, że dużo ryzykuje — studia, dziewczynę, podreperowaną reputację. Przez kilka dni przeganiał doliniarza i odpędzał od siebie pokusę; kluczył bocznymi ulicami, żeby zejść tamtemu z oczu. Tamten jednak był uparty, ponawiał propozycję, roztaczał blaski, że to całkiem pewna, bezpieczna sprawa i Wielka Pieniawa, które mu dokuczał głód, brak papierosów i ambicja, zaczął się w końcu giąć, bo miał w gruncie rzeczy charakter rozrywkowy i żal mu było opuszczać Wybrzeże. Pewnego dnia o czwartej nad ranem wyskoczył z domu i poszli z doliniarzem na skraj nadmorskiego miasta. Zatrzymali się pod kioskiem i wtedy wyszedł z zagajnika trzeci gość.

„Kto to jest?" — zapytał Pieniawa.

„Kumpel".

„Mieliśmy pracować we dwóch".

„Nie bój się. I dla trzech starczy towaru".

„Nie chodzi o to, czy starczy, tylko czy jemu można zaufać".

„Można. To jest równy gość. Przyniósł łomy no i namotał pasera, który z miejsca wszystko kupi za żywą gotówkę".

Pieniawa chciał się wycofać, ale wkoło panowała głucha cisza, całkowite bezludzie; wszystko wydało mu się nagle bardzo proste. Zakasał rękawy i rozpruli w trójkę ten kiosk. Były tam zapalniczki, wieczne pióra, żyletki, grzebienie, kremy, olejki, profilaktyczne ogumienie, zabawki i dużo papierosów. Ten trzeci, zasmarkany trzydziestolatek, załadował to wszystko do wora, w którym przyniósł narzędzia i ruszył do pasera, umawiając się z nimi o dziewiątej w barze mlecznym. Pieniawa z doliniarzem utopili w sadzawce łomy i poszli do domów, każdy swoją drogą. Kiedy o dziewiątej Pieniawa wszedł do baru, zastał tylko doliniarza. Odczekali parę minut i Pieniawę zaczęły drążyć niepokoje.

„Może wpadł?"

„Ee, zaraz przyjdzie".

Ale nie przyszedł.

Pieniawa wrócił do dziewczyny z bijącym sercem. Jak nie mam towaru ani pieniędzy, to tak, jakbym jeszcze nic złego nie zrobił — myślał — i znowu poczuł się bezpiecznie. O czwartej po południu jeszcze raz poszedł do baru, ale doliniarza nie było. Zajrzał na dworzec. Doliniarz wsiadał akurat do pociągu.

„Pryskasz?" — zapytał.

„Pryskam".

„A moja dola?"

„Nie ma doli".

„Bujasz!"

„Nie. On już klincuje razem z paserem".

Pieniawa wystraszył się.

„Sypnie?" — zapytał.

„Ciebie nie sypnie, bo nawet nie zna twojego nazwiska".

„Ale ciebie sypnie, a ty moje nazwisko znasz".

„Nie sypnie. Chyba nie sypnie" — dumał doliniarz. I odjechał.

Pieniawa wrócił z dziewczyną do Łodzi i resztę lata spędzili na miejskich basenach. Zapomniał szybko o całym incydencie, a jak go czasem nabiegły wspomnienia, uspokajał się myślą, że przecież nie miał z tego ani grosza i zawsze może się wyprzeć.

Pierwszego października rozpoczęli studia. Dziewczynie szło jako tako, a on robił prawdziwą furorę. Mówić dalej?

— Mów.

— Bo może to nieciekawe?

— Ciekawe.

— Pierwszy semestr zaliczył na piątki. Był z każdym dniem poważniejszy i chodził z głową w chmurach. Ale nie wiedział, że właśnie z końcem stycznia ten trzeci puścił farby i milicja wzięła się za doliniarza. W marcu mieli się pobrać. Ona miała już ślubną suknię, a on czarny garnitur, w którym wyglądał jak wielki naukowiec. Wiem, bo mieszkałem z nimi na tej samej ulicy i śledziłem (podobnie jak wszyscy w okolicy) jego karierę. Na tydzień przed ślubem, kiedy siedział z nią w domu, podjechał radiowóz.

„To chyba pomyłka" — powiedział do milicjanta.

„Niestety" — powiedział milicjant.

„Mój narzeczony jest porządnym człowiekiem" — krzyczała dziewczyna. I miała rację. On już wtedy był naprawdę porządny. Już by pewnie nigdy w życiu nie popełnił przestępstwa. Założyłby rodzinę, skończył spokojnie studia, zaczął pracować...

— Za wszystko trzeba płacić — powiedziałem.

— Żal mi go — powiedział perkusista.

— Ta dziewczyna go rzuciła? — zapytałem.

— Tak. Nie odpisywała na listy.

— Długo siedział?

— Dwa lata.

Wyszedłem na ulicę. Wielka Pieniawa stał pod latarnią z papierosem w zębach. Nie czułem do niego sympatii. Nie umiałem mu nawet współczuć. Za wszystko trzeba płacić. Powiedzmy, że on już zapłacił. Więc mógłby zacząć wszystko od nowa. Ma przecież dopiero dwadzieścia pięć, najwyżej dwadzieścia siedem lat. Nie jest za późno. Ale on woli snuć się po ulicach i zaczepiać ludzi, gniewać się na cały świat za swoje własne winy.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

STEFAN ATLAS

Ulica Zielona nr 6

Leży przede mną „Robotnik" z soboty, 2 lutego 1924 roku. W tym numerze duży artykuł Aleksego Rżewskiego „Jak w bajce", ktoś obwiódł ołówkową kredką i spiczastym, kobiecym charakterem pisma kategorycznie zalecił: „Przeczytać. O tem co opowiadałam". Kim była kobieta, która napisała te słowa? Nie wiadomo. Wiem natomiast kim był Aleksy Rżewski: bojowiec PPS, jeden z pierwszych prezydentów Łodzi. Pierwszy „czerwony" prezydent.

„Wr. 1912 w Łodzi, wielkie wrażenie w całym mieście wywołało trzydniowe oblężenie tow. Wojciecha Dryni (w domu przy ul. Zielonej nr 6), członka frakcji rewolucyjnej PPS przez policję. Żandarmeria i część łódzkiej prasy nazwała go „bandytą". Nie dziw, że ugodowcy nie robili żadnej różnicy i wszystkich socjalistów i rewolucjonistów obdarzali w czambuł tym mianem. Tow. Drynia liczył lat 25 i należał do najbardziej inteligentnych robociarzy w Dąbrowie Górniczej. Był z zawodu kowalem. Odważny, silny fizycznie, dzielny, nieustraszony, żartowniś w najniebezpieczniejszych chwilach, kpił sobie z grożących mu kar i dość szczęśliwie wywijał się z zastawianych na niego sieci".

Autor bardzo szczegółowo opisuje jak to po rozbiciu organizacji PPS w Dąbrowie Górniczej, w 1911 roku, Drynia zdołał zbiec z Zagłębia i ścigany, głodny tułał się po Warszawie, a następnie po Łodzi szukając schronienia i pracy. Nie było to łatwe. Rok 1911 był szczytowym okresem reakcji po rewolucji 1905 roku. Organizacje z reguły rozbite, rewolucjoniści aresztowani, zesłani lub ścigani, lokale spalone, szaleją prowokatorzy. Wprawdzie Drynia posiadał komplet fałszywych papierów na obce nazwisko, ale listy gończe z jego podobizną rozesłano do wszystkich posterunków żandarmerii w całym ówczesnym Królestwie Polskim. Ponadto jako uczestnik i organizator szeregu zamachów i aktów sabotażowych w Zagłębiu był doskonale znany prowokatorom i agentom ochrany. Nic więc dziwnego, że watahy szpicli grasowały po ulicach Warszawy, Łodzi, Lublina i Piotrkowa w poszukiwaniu niebezpiecznego buntownika. Za schwytanie Dryni wyznaczyła żandarmeria wysoką nagrodę. I oto pewnego dnia zauważył Drynię pewien prowokator i agent ochrany z Sosnowca. Było to na ulicy Piotrkowskiej nieopodal Zielonej, w momencie, gdy Drynia wchodził do cukierni. Prowokator wezwał pomoc i z trzema innymi szpiclami rzucił się na Drynię w momencie gdy wychodził on z cukierni. Drynia, obdarzony olbrzymią siłą fizyczną, łatwo wyrwał się z rąk tajniaków i z odebranego jednemu z nich rewolweru strzelił prosto w twarz prowokowi. Korzystając z zamieszania jakie powstało po wystrzale, rzucił się Drynia do ucieczki i uchodząc przed pogonią, wpadł na podwórze domu przy ul. Zielonej nr 6, skoczył w otwarte drzwi do oficyny i biegnąc po schodach dostał się aż na strych. Kiedy żandarmi ochłonęli i usiłowali dostać się na strych — powitał ich grad kul. Drynia oprócz pistoletu zabranego szpiclowi miał przy sobie mauzer i browning oraz trzysta naboi.

Zaalarmowano całą łódzką policję. Rozpoczęło się regularne oblężenie domu. Ewakuowano przerażonych lokatorów, otoczono kordonem żandarmów dom frontowy do strony ulicy Zielonej i obie oficyny, obsadzono pobliskie dachy i rozpoczęła się strzelanina.

Po doświadczeniach 1905 roku łódzka policja obawiała się wzywać pomocy wojska. W dodatku żądanie takiej pomocy dla ujęcia samotnego bojowca oznaczałoby kompletne niedołęstwo żandarmerii i całkowitą kompromitację policmajstra. Policja wypożyczyła więc tylko od komendanta garnizonu ciężki karabin maszynowy, który ustawiono na dachu synagogi stojącej wówczas na rogu Zielonej i Kościuszki.

Bez przerwy zmieniano taśmy w „maximie". dach oficyny podziurawiono jak sito, a przecież Drynia wciąż odpowiadał strzałami na każdą próbę zbliżenia się do strychu. Wówczas policmajster ogłosił, że ten komu się uda dostać Drynię żywym lub zabitym otrzyma tysiąc rubli nagrody. Była to na

RADIACJA I PRZEMYSŁ

LEŻĄ PRZEDE MNĄ RÓŻNE PRZEDMIOTY — KAWAŁKI DREWNA, PRÓBKI TWORZYW SZTUCZNYCH, TKANKI KOSTNE I NIEWIELKIE PRÓBKI TKANIN BAWEŁNIANYCH. DALEJ, W ELEGANCKICH OPAKOWANIACH STRZYKAWKI, NICI CHIRURGICZNE I ZESTAWY DO JEDNORAZOWEGO PRZETACZANIA KRWI. CZERWONY NAPIS GŁOSI: „STERYLIZACJA RADIACYJNA".

Polietylen, który oglądam, ma jednak zupełnie inne właściwości od spotykanego dotąd. Jest bardziej wytrzymały na wysokie temperatury, zrzucony ze znacznej wysokości na podłogę nie pęka. Tkanka kostna jest gotowa do wszczepienia choremu, który wymaga tego rodzaju zabiegu. Została, przy pomocy promieniowania radiacyjnego, wysterylizowana. Podobnie nici chirurgiczne i inny sprzęt medyczny.

Kiedy kilka lat temu budowano w Łodzi, w Politechnice, pierwszą w kraju komorę radiacyjną, słyszałem plotki, iż powstaje ni mniej ni więcej tylko... atomowy poligon doświadczalny. Fakt jest faktem. O chemii radiacyjnej mówiła wtedy garstka specjalistów. Komora o aktywności 20 tys. curie — pierwsze w kraju źródło promieniowania jonizującego o takiej mocy, umożliwiło rozpoczęcie badań nad zastosowaniami w różnych przemysłach techniki radiacyjnej. Naukowcy rozpoczęli poza tym prowadzenie badań podstawowych w dziedzinie oddziaływania promieniowania na materię. W ten sposób łódzki ośrodek naukowy w jeszcze jednej gałęzi rozwija prace, określane w kraju mianem fundamentalnych.

Sprawa rozwoju i zastosowań techniki radiacyjnej jest bardzo aktualna i pilna. W stosunku do nauki światowej mamy bowiem już sporo do odrobienia. Mówiono o tym w czasie niedawno odbytej krajowej konferencji na temat „Technika radiacyjna w gospodarce narodowej". Wystarczy wymienić nazwy sekcji w jakich obradowali uczestnicy konferencji, aby wyrobić sobie pogląd o przydatności zastosowań radiacji. Obrady toczyły się więc w sekcji chemicznej, włókiennictwa i polimerów, spożywczej i medycznej. W tych dziedzinach technika radiacyjna może przynieść najwięcej korzyści.

Zanim jednak o nich, warto parę słów powiedzieć o komorze radiacyjnej, która obecnie jest w gestii Międzyresortowego Instytutu Techniki Radiacyjnej w Politechnice Łódzkiej, którym od momentu powstania kieruje prof. dr Jerzy Kroh, pełniący jednocześnie funkcję prezesa Polskiego Towarzystwa Badań Radiacyjnych.

Sama komora znajduje się na najniższej kondygnacji budynku instytutu. Źródłem promieniotwórczości jest kobalt. Komora staje się radiacyjną dopiero wtedy, kiedy 20 pałeczek kobaltu, każda o aktywności 1 tys. curie, zostaje przy pomocy sprężonego powietrza wypchnięta w położenie robocze. Wtedy też przedmioty znajdujące się w komorze poddane zostają napromieniowaniu. Pracą komory steruje się ze specjalnego pomieszczenia. Skomplikowany system alarmowy przewiduje wszelkie możliwe, a niebezpieczne dla zdrowia i życia ludzkiego sytuacje. Jest on tak zaprojektowany, iż nie można uruchomić komory, kiedy w zasięgu promieniowania znajduje się człowiek.

Tu powstały niemal wszystkie polskie prace z zakresu chemii radiacyjnej i tu koncentrują się aktualne badania.

Co właściwie decyduje o korzyściach płynących z zastosowania chemii radiacyjnej? Przede wszystkim wykorzystuje ona nowe źródło energii, jakim są materiały izotopowe. W dużej skali ten rodzaj energii jest na ogół tańszy od energii elektrycznej, czy termicznej. Mnogość materiałów promieniotwórczych pozwala przypuszczać, iż energia osiągana z tego źródła będzie coraz tańsza.

Promienie jonizujące pozwalają na inicjowanie różnych procesów chemicznych w temperaturze pokojowej. Odkrycie tego było swego rodzaju rewelacją. Wszelkie bowiem klasyczne procesy chemiczne zachodzą na ogół w wysokich temperaturach. Na przykład tworzywa sztuczne powstają przy metodzie klasycznej w temperaturze w granicach 100 st. C. Polimeryzacja metodą radiacyjną może nastąpić w temperaturze pokojowej. Ma to bardzo istotne znaczenie na przykład ze względu na możność dokładniejszego kontrolowania reakcji.

Kto nie marzy o w pełni odpornej na gniecenie koszuli z popeliny? Popelina nazwana androcottonem mniej się gniecie. Efekt ten osiąga się przez nałożenie odpowiedniej apretury. Po kilku czy kilkunastu praniach apretura ulega zniszczeniu. Poddana jednak działaniu promieni jonizujących staje się (według dotychczasowych badań) przeszło dwa razy odporniejsza na gniecenie i praktycznie nie ulega zniszczeniu. Poprzez napromieniowanie bowiem wiąże się trwale z tkaniną.

Do tej pory nie ma bardziej skutecznego sposobu uodporniania na gniecenie tkanin bawełnianych. Tak więc w wielu wypadkach metody radiacyjne są jedynymi, które pozwalają na osiągnięcie stawianego celu. W innych wypadkach metody radiacyjne są bardziej opłacalne i przynoszą lepsze rezultaty. Krótko mówiąc są bardziej ekonomiczne.

W przemyśle spożywczym radiacja daje wręcz nieocenione rezultaty. Przykład — wszyscy na ogół wiedzą jakie spustoszenie sieją w magazynach zbożowych różnego rodzaju szkodniki. Walka z nimi jest często wojną z przysłowiowymi wiatrakami. Pochłania ogromne środki, angażuje wielu ludzi i, niestety, nie zawsze przynosi oczekiwany rezultat. Tymczasem zboże, poddane promieniowaniu jonizującemu przed zsypaniem do elewatora, jest oczyszczone w 100 proc. Podobnie zbawienne działanie mają promienie jonizujące w stosunku do ziemniaków, zapobiegając ich kiełkowaniu w czasie dłuższego przechowywania. Drogą radiacji konserwuje się owoce, mięso, jarzyny. Produkty te wytrzymują długi transport. Nie tracą nic ze swoich walorów odżywczych i smakowych. Badania w tym zakresie prowadzi się w łódzkim instytucie. Są to jednak prace przyszłościowe, z tego chociażby względu, iż obowiązujące u nas przepisy nie dopuszczają do obrotu artykułów napromieniowanych. Na marginesie: kiedy powstały przepisy o promieniowaniu słyszało raczej niewielu ludzi...

Nie mniejsze usługi oddaje radiacja przy sterylizacji różnego rodzaju opakowań w przemyśle spożywczym. Nie tylko zresztą sterylizacji. Bo drogą radiacyjną wytwarza się opakowania z folii termokurczliwej, a z opakowaniami u nas od lat występują bardzo poważne kłopoty. Wystarczy też wspomnieć o zestawach z tworzyw sztucznych do jednorazowego przetaczania krwi — tanich i wygodnych. Sterylizować można je jedynie metodami radiacyjnymi.

ANDRZEJ DZIERŻANOWSKI

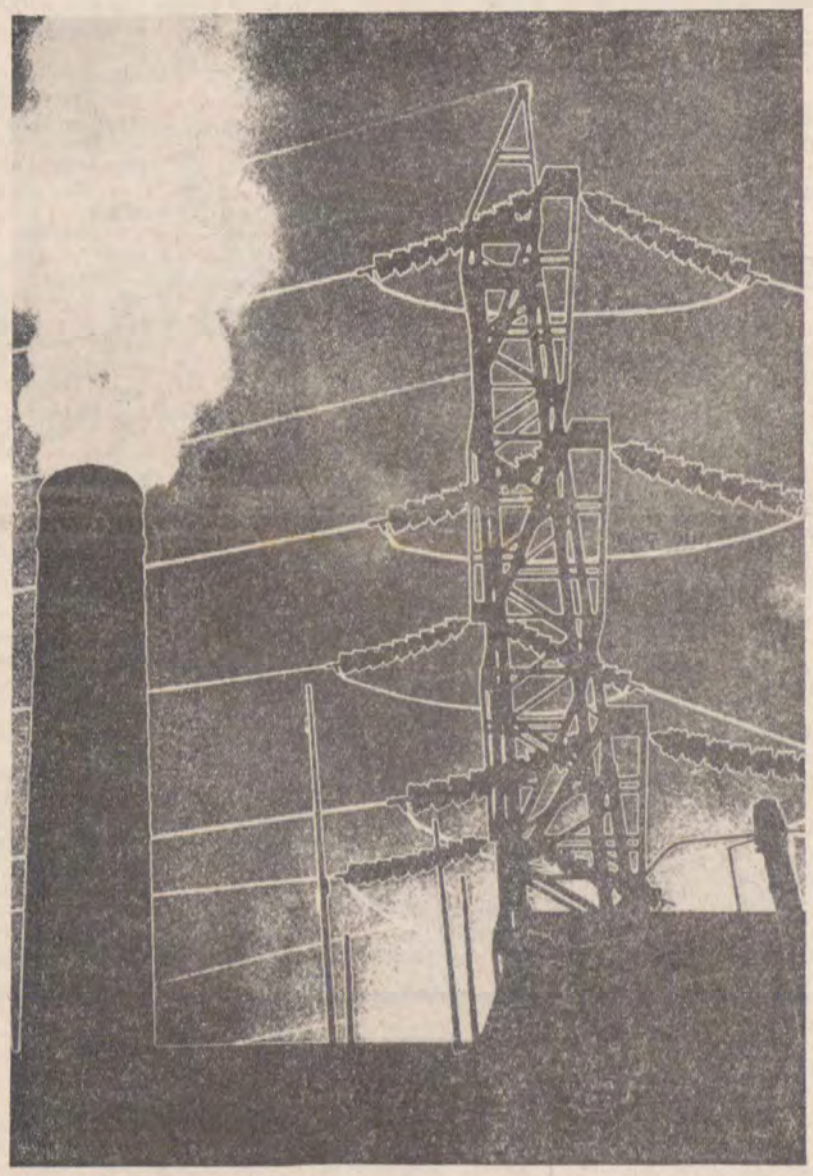

Technika radiacyjna rozwija się na świecie stosunkowo szybko. Kilkadziesiąt fabryk w różnych krajach stosuje już w skali technicznej różne urządzenia radiacyjne. W Australii w ogromnych komorach radiacyjnych niszczy się szkodliwe drobnoustroje w wełnie i sierści. W krajach skandynawskich i Anglii w masowej produkcji sterylizowane są drogą radiacyjną utensylia lekarskie. Amerykański koncern Forda stosuje technikę radiacyjną do walki z korozją samochodów. Promieniowanie jonizujące wykorzystuje się do produkcji laminatów z tworzyw sztucznych i włókna szklanego. Radiacyjnie modyfikuje się tworzywa sztuczne, itd. Ostatnio w Stanach Zjednoczonych rozpoczęto stosować technikę radiacyjną przy produkcji pół przewodników. Rzecz cała jest jednak chroniona niezliczonymi patentami.

Jaki jest u nas stan chemii radiacyjnej? Rozmawiałem na ten temat z zastępcą dyrektora MITR do spraw współpracy z przemysłem, doc. dr Władysławem Pękalą.

Bez wątpienia, chemia radiacyjna w ostatnich latach rozwinęła się znacznie. Prowadzi się szereg prac badawczych i naukowych. Ukazało się wiele podręczników. Trzy tematy realizowane w instytucie zaliczono do szczególnie ważnych dla gospodarki narodowej. Realizuje się je dla przemysłu włókienniczego, spożywczego i farmaceutycznego. Kilkadziesiąt tematów jest w opracowaniu. Ale, niestety, chemia radiacyjna nie wyszła u nas poza laboratoria. W całym kraju nie ma bowiem ani jednego urządzenia przemysłowego z zakresu techniki radiacyjnej. Naukowcy z Instytutu Badań Jądrowych opatentowali metodę sieciowania drogą radiacyjną kauczuku naturalnego. Metoda jest jednak w kraju nie wdrożona. Łódzki Instytut świadczy prace usługowe z zakresu sterylizacji tkanki kostnej dla banku tkanek. Na razie wszystkie potrzeby są w pełni pokryte. Gdyby jednak bank chciał sterylizować większe ilości tkanek, instytut musiałby odmówić. Komora bowiem jest zbyt mała. Wykorzystuje się ją głównie do prac doświadczalnych prowadzonych wespół z innymi resortami i placówkami naukowymi, jak np. Instytutem Włókiennictwa, czy Instytutem Przemysłu Skórzanego.

O dalszym rozwoju techniki radiacyjnej nie można myśleć bez uruchomienia w przemyśle odpowiednich urządzeń, umożliwiających wdrożenie prac naukowców. Wydaje się, że technika radiacyjna na tyle sprawdziła się, że czas najwyższy, aby zaczęła być powszechna i w naszym kraju.

Konferencja, o której wspomniałem, wysunęła szereg wniosków i postulatów. Do najważniejszych należy wyposażenie ośrodków badawczych w wielofunkcyjne i różnorodne źródła promieniowania jonizującego, nawiązanie współpracy tematycznej przemysłu z ośrodkami naukowymi, uruchomienie stałej informacji dotyczącej przemysłowych zastosowań techniki radiacyjnej, jak też jej popularyzowanie wśród pracowników przemysłu i medycyny.

Wreszcie na koniec o jeszcze jednej sprawie, chyba decydującej o rozwoju techniki radiacyjnej. Specjalność tę zdobywa w Politechnice Łódzkiej co roku ok. 15 magistrów inżynierów. Obecnie obowiązujące przepisy stypendialne rozszerzają zasięg stypendiów fundowanych. Do tej pory jednak nie wpłynął ani jeden wniosek z zakładu pracy, który chciałby zatrudnić u siebie specjalistę z zakresu techniki radiacyjnej. Wiadomo też, że studenci ostatnich lat muszą przede wszystkim korzystać ze stypendiów fundowanych. Jeżeli tak dalej pójdzie, to nie mogąc otrzymać stypendialnej pomocy materialnej, nikt nie zechce specjalizować się w technice radiacyjnej. A wiadomo, że bez kadr technika radiacyjna nie będzie mogła się rozwinąć.

---

owe czasy suma olbrzymia. Nic więc dziwnego, że jeden z policjantów postanowił wyzwać fortunę.

Oficyna była opuszczona przez lokatorów. Żandarm bez trudu dostał się do mieszkania na trzecim, ostatnim piętrze i począł przebijać otwór w suficie. Odgłosy serii z karabinu maszynowego tłumiły hałasy powstające przy przebijaniu sufitu. Policjant wykonał większą część zamierzonej pracy i oczekiwał nocy, by doprowadzić swój zamysł do końca.

Była godzina pierwsza w nocy. Znużony Drynia zdrzemnął się ukryty za rezerwuarem, który przez cały dzień skutecznie chronił go przed pociskami. Chytry żandarm kilkoma lekkimi uderzeniami łomu przebił do końca sufit. Droga na strych stała otworem. Żandarm jeszcze nasłuchiwał. Cisza. Na podłodze pustego mieszkania policjant ustawił wysoki stół, na nim krzesło, jeszcze wyżej zydel i wdrapał się na szczyt piramidy. Kiedy się wyprostował głowa znalazła się już na strychu. Zwolna począł unosić się na ramionach. Udało się. Nie spowodował nawet najmniejszego szmeru. Oto znajduje się już na strychu i skulony przywarł do podłogi, by odpocząć i wymyślić najbardziej skuteczny sposób ataku na śpiącego buntownika. Już zbierał się do skoku, gdy straszliwy cios żelazną sztangą roztrzaskał mu głowę. Padł bez jęku.

Próżne były bowiem rachuby stupajki. Mimo trzydniowego oblężenia Drynia odpoczywał czujnie i usłyszał szmer przebijanego sufitu. Doskonale widział głowę, która się ukazała w otworze, widział wczołgiwanie się nieproszonego gościa na strych i z żelazną sztabą w ręku oczekiwał ukryty za rezerwuarem na dogodny moment. Stał teraz nad trupem żandarma.

W tej samej chwili zaświtał w głowie Wojciecha Dryni szalony pomysł. Pośpiesznie ściągnął z nieboszczyka pas, szynel, buty, mundur, bieliznę, rozebrał się, przebrał zwłoki w swoją odzież, sam zaś przedzierzgnął się w żandarma.

W jednej chwili przez wybitą dziurę, znalazł się w opuszczonym mieszkaniu, wyszedł na schody i nie zatrzymywany przez nikogo wyszedł na ulicę. Był wolny...

O świcie policja przypuściła szturm generalny. Po dłuższej kanonadzie z karabinu maszynowego poszły w ruch sikawki straży ogniowej, zatopiono cały strych. Wreszcie z drabin strażackich otwarto ogień ze wszystkich stron. Miatieżnik nie odpowiadał. Policjanci zaryzykowali wdarcie się na strych. Szybko odkryli buntownika za rezerwuarem. Miał rozbitą czaszkę. Wprawdzie zabity miał twarz zniekształconą, ale łódzkim policjantom przecież udało się stwierdzić ponad wszelką wątpliwość, że zabity nie jest poszukiwanym rewolucjonistą Banasiakiem, który niedawno dokonał zuchwałego napadu na furgon pocztowy.

Przewieziono zabitego „bandytę" do szpitala Czerwonego Krzyża, gdzie każdy mógł obejrzeć zwłoki i podziwiać triumf policji. To właśnie stało się przyczyną finału tragikomedii.

Żona zabitego żandarma, jak wiele innych ciekawskich, udała się do szpitala, obejrzała zwłoki i... podniosła lament. Dopiero wówczas zauważono brak żandarma. Łódzka policja stanęła w obliczu straszliwej kompromitacji. Poczęto gorączkowo szukać jakiegoś wyjścia. Jakoż zebrano rychło znaczną sumę pieniędzy, wręczono ją wdowie, zmuszając ją do uroczystej przysięgi, w obecności popa, że natychmiast opuści Łódź i powróci do rodzinnej samarskiej guberni i nigdy nikomu nie zdradzi tajemnicy śmierci swego małżonka.

Wojciech Drynia po wyjściu z pułapki przekonał się że jest trzykrotnie ranny. Udało mu się jednak dotrzeć do jednego z łódzkich towarzyszy. Wyleczono go i z fałszywymi papierami wysłano za granicę. Pracował potem w Niemczech, w Bremie, w 1913 roku wyjechał do Ameryki i dostał się do stalowni w Pensylwanii. Na wieść o wybuchu wojny światowej powrócił do kraju, pod przybranym nazwiskiem zaciągnął się do Legionów i w roku 1915 zginął w bitwie pod Krzywopłotami.

Emerytowany dozorca kamienicy przy ul. Zielonej 6 p. Paweł Golas słyszał o tym od lokatorów, z których ani jeden nie przeżył ostatniej wojny i okupacji. On też pokazał mi istniejące do dziś ślady kul na murze i obok owego słynnego a działającego do dziś rezerwuaru.

Warto dodać, że Aleksy Rżewski będąc prezydentem Łodzi zabiegał, by ulicę Zieloną przemianować na ulicę imienia Wojciecha Dryni. Na nic się jednak zdały jego zabiegi. Zielona, Piotrkowska to były ulice zamieszkałe przez łódzką plutokrację. Zrozumiałe, że nie w smak im było mieszkać przy ulicy nazwanej imieniem „bandyty". Zrobili więc wszystko, by do tego nie dopuścić.

MACIEJ JÓZEF KONONOWICZ

A ot i babcia w koszyku

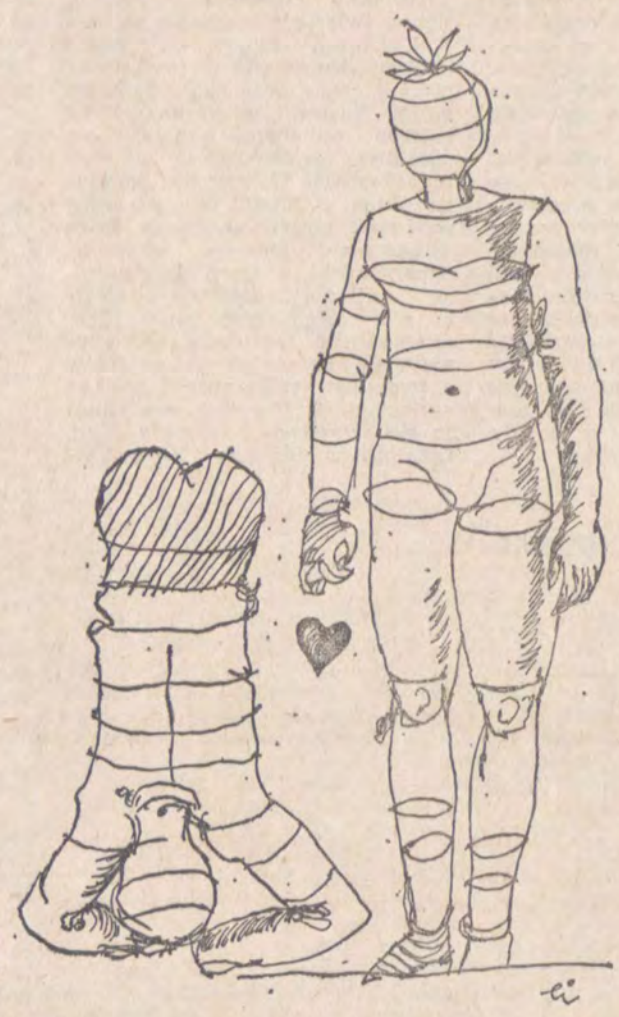

Rys. E. Inglot

ZAMIESZCZAMY JEDNO Z OPOWIADAŃ MACIEJA JÓZEFA KONONOWICZA, KTÓRYCH ZBIÓR UKAŻE SIĘ WKRÓTCE W WYDANIU KSIĄŻKOWYM PT. „SZYFR O OJCZYŹNIE".

Coraz częściej huczało roziskrzone, zimowe niebo nad jenieckim obozem. Jak czarna kra — płynęły falami eskadry ciężkich bombowców. Ziemia trzęsła się od potężnych detonacji i horyzont pulsował łuną dalekich pożarów. Słuchaliśmy tej muzyki nocy z niewysłowioną radością, z nadzieją przeradzającą się w pewność, że dzieli nas niewiele tygodni od czasu, gdy w proch i pył rozsypie się Hitlerland. Ta muzyka nocy była dla nas czytelnym szyfrem z teatru dogasającej wojny. Z odmiennym niż my uczuciem odczytywała te podniebne i horyzontalne komunikaty niemiecka załoga obozu. Od wschodu sunęły niepowstrzymaną lawiną pancerne dywizje radzieckie, pchając przed sobą ziejącego ogniem brunatnego gada. Szosy i drogi wiodące na zachód, były jak wzburzone rzeki, którymi płynęły nieustannie rzesze cywilnej ludności niemieckiej. Tak uciekali przerażeni z miejsc popełnianych zbrodni. Szli piechotą, pchając przed sobą ręczne wózki, jechali rowerami, furmankami, ciągnąc ze sobą nędzny dobytek. Raz po raz zderzała się ta fala z kolumnami wojska, czy pędzonymi piechotą kolumnami jeńców.

Jeden z takich przesuwanych na zachód oflagów wprowadzono do naszego. Wylegliśmy wszyscy z baraków na majdan. W naszym szarym monotonnym życiu obozowym było to wydarzenie nowe i sensacyjne. Kolumnę zarośniętych, ośnieżonych i wygłodniałych kolegów ustawiono w długim szeregu. W dłu gich płaszczach, z plecakami, z kocami przez ramię, z chlebakami, węzełkami — stali pod trzymując kulejących i osłabionych długą marszrutą. Kazano złożyć im przydźwigany dobytek jeniecki na ziemi i odstąpić dzie sięć kroków do tyłu. Wkrótce nadeszła Abwehra aby dokonać kontroli bagaży, wnie sionych na teren obozu. Rozcinali paski i sznurki, grzebali w plecakach i tobołkach: po rogatych Polakach wszystkiego można się spodziewać — a nuż radiostacja, broń, bim ber, czy nielegalna prasa. Papiery, notatki, zeszyty — odkładali na bok do cenzurowa nia. Wreszcie trójka zmilitaryzowanych celni ków stanęła nad wyróżniającym się pakun kiem: duży, brudny, wypełniony worek zwią zany sznurem. Rozcięli sznur, wytrząsnęli worek... nagle jakby uderzeni podmuchem bomby odskoczyli z rozrzuconymi na boki ra mionami. Jeden z nich potknął się i upadł. Buchnął śmiech. Niemiec podniósł się czer wony jak burak i przesunął nerwowo kabu rę pistoletu. Na ziemi, przy worku, leżała martwa, zamarznięta staruszka. Czepek na głowie, ciemna, flanelowa suknia, na chu dych nożynach czarne pończochy i trzewiki. Fantazja ludzka nie mogłaby wydumać bar dziej klasycznej makabreski. Niemcy zupeł nie pogłupieli. Taka sytuacja nie była prze widziana w ich regulaminach i instrukcjach. Posłano po szefa Abwehry. Za chwilę nad szedł wolnym krokiem od strony budynków obozowych. Oficjalnie, urzędowo i rzeczowo obejrzał ten niezwykły eksponat, wyprosto wał się, ujął teatralnie pod boki i — jak kijem po sztachetach — przejechał wzrokiem po twarzach stojących w szeregu polskich o ficerów.

— Was ist denn das? — ryknął nagle.

W odpowiedzi rozległ się potężny szmer, rozłamany na połowę: jak dwie drużyny żeg nące się na boisku — najpierw zaszumie liśmy my — a gdy się Niemcy obejrzeli w naszym kierunku — zaszumieli stojący w szeregu koledzy z wędrującego oflagu. Ofi cer wezwał do siebie konwojentów. Jakże żałośnie wyglądały te dziadygi z wojennego demobilu! Zarośnięci, przemarznięci, pogar bieni, z patykami sterczących nad głową ka rabinów chyba jeszcze z wojen napoleoń skich — stanęli przed lokalnym Jowiszem. Ale w naszych oczach ów Jowisz ciskający gromy — niewypały, był raczej godnym po żałowania bohaterem groteski. W łunie po żarów, obrysowujących germański horyzont, w pomruku nocnych eskadr, w zwężającym się stale pierścieniu detonacji i jęków artyle rii — przestała na nas działać hypnoza żan darmskich oczu i gardłowy krzyk. Wach mani stanęli jak stadko kuropatw przy na puszonym pawiu. Paw krzyknął w kierunku jeńców:

— Wer hat den Sack gebracht? — Austre ten!

Głuche milczenie. Wachmani zaczęli obcho

— Wer den Sack gebracht hat, soll aus der Reihe austreten, sonst werde ich den Wachtmannern befehlen, dass Sie den Eigen tumer und vermutlich den Verbrecher erkennen!

Głuche milczenie .Wachmani zaczęli obcho dzić sfrontowaną kolumnę jeńców. Spojrze niom ich odpowiadały twarze harde, wzgar dliwe, kpiące. Nie mogli — albo też bali się rozpoznać winowajcę. Oficer zwrócił się o strym tonem do wachmanów:

— Also, ihr habt nicht die Moglichkeit den Schuldigen zu finden? Ihr, die Huter der Kriegsgefangenen — Kolonne, die euch anvertraut werden!

Na to odezwał się z szeregu jakiś zaciąga jący z wileńska kolega:

— To myśmy musieli pilnować wachma nów, żeby nam nie pouciekali w czasie dro gi!

Buchnęliśmy śmiechem na dwie bramki.

— Dolmetscher! Was hat der Mann ge sagt? — rzekł wskazując na kresowiaka.

— Jeniec powiedział, że to raczej oni do prowadzili wachmanów do obozu.

— Odprowadzić go do aresztu! — krzyknął oficer.

— Ale kto kogo ma odprowadzić do are sztu? — odkrzyknął pytaniem „Podbipięta".

— Będziemy się niedługo już rozliczać z kon wencji genewskiej — dorzucił, kiedy go wy pchnął z szeregu zbrojny Niemiec.

Szef obozowej Abwehry jakby się nieco zreflektował i opanował i rzekł spokojniej szym tonem:

— Panowie, rozumiecie, do diabła, że nie jest to zwykła ani śmieszna historia. Rozu miecie, że trzeba ją wyjaśnić. Ponawiam py tanie: co to jest? — i wskazał ręką na nie boszczkę.

Na to odezwał się jakiś głos z szeregu:

— „...pełno radości i krzyku — i ten ro dzynki i ten rodzynki — a ot i babcia w koszyku".

— Dolmetscher!

Tłumacz stanął przed niewykonalnym za daniem. W tłumaczeniu na niemiecki zda nie to, odcięte od literackich reminiscencji, brzmiało jak bełkot absurdalny... Nagle za wyła syrena alarmowa, sygnalizująca nalot. Zagnano nas w pośpiechu pod dach baraku pospołu z nowymi kolegami. Plac i uliczki obozu opustoszały. Szedł z dala, niesiony wiatrem, głuchy pomruk motorów. Znów zawyła syrena alarmowa. Ale w zatłoczo nym baraku „pełno radości i krzyku". Od szukiwanie znajomych, powitania, zawieranie znajomości, wymiana informacji — jak na odpuście. Oczywiście — w gronie koleżeń skim ujawnił się natychmiast właściciel ze zmarłą staruszką. To była już ta faza woj ny, kiedy w pogwarkach nie brało się już „poprawki na szpicla".

— ...otóż, koledzy, niech skonam, jeśli to nie prawda, żeśmy musieli bystro klinować konwojentów, żeby nam nie pouciekali. Bo to, wiecie — w te i we wte kręciły się jeszcze uzbrojone po zęby kolumny szesnasto letnich gówniarzy z SS, którzy wędrujących uciekinierów naszych i swoich rozwalali na miejscu. A tak — szliśmy pod opieką przy zwoitek — oficjalnie i na smirno. Idziemy i idziemy, idziemy, ciemno jak cholera, noc, zadymka, na szosach kotłowanina, zatory, porozbijane samochody, porzucone rowery. Przed nami, za nami, obok nas jadą jak na targ furmanki bauerów aż gdzieś spod Rygi, z Ukrainy, spod Łodzi, na wozach bauerskie żony, ciotki i rebiata, pootulane w koce i pierzyny — a my nic, tylko prujemy kolumną przed siebie. W marszu się śpi, sra, bo nie ma się gdzie zatrzymać. Tych kilku wachmanów trzymamy za kapoty, żeby nam który na boki nie prysnął i w tłoku nie zginął. Nieśliśmy im nawet karabiny na zmianę, bo te wyskrobki z landszturmu usta wały nam w drodze. Część naszych w mar szu śpi, jak Boga kocham, chrapią niektó rzy przez sen. Głodno, bo wsie objedzone przez tę ludzką szarańczę — a śnią się nam baraki z kantyną i sraczem. Wiecie, kole dzy, te swoje dwa metry mam od urodzenia, toteż mi zawsze w pierwszej czwórce wypa dało. W zadymce i ciemnościach nie widać na krok przed sobą. Terkocze mi przed no sem jakiś wóz bamberski, dzieciaki płaczą, baby lamentują, bauery klną na Hitlera. Chwyciłem za jakiś zydelek fury i lżej iść (dajcie no CAMELA, bo mi w gardle za schło)... nagle widzę, że na tyle wozu kole bie się jak wahadło zegara jakiś ciężki wo rek. Odchyliłem wachmanowi nausznik i py tam: „Jak tam, dziadu, daleko jeszcze do naszego nowego m. p.?" — Jeszcze trzy kro ki szosą — powiada — a potem skręcamy w prawo i obóz już niedaleko. Podałem dziada do tyłu, żeby go inni pilnowali, i, jakeśmy doszli do tego skrzyżowania dróg, przerzu ciłem sobie bauerski worek przez plecy, wóz poszedł prosto, my na prawo i myślę: cholery wiozły w worku ubitego cielaka i to na pewno zrabowanego naszym. Cielak w obozie starczy na całą kompanię. I wiecie — dopiero jak tę babcię wytrząsnęli z wor ka na ziemię, oczy mi się otworzyły. Na pew no biedaczka zmarła w drodze na tym wo zie, nie mieli jak babki pochować w czasie ucieczki, ziemia zamarznięta, to ją i w wo rek wsadzili, żeby pogrzebać tam, gdzie osią dą. Żal mi teraz tej szkopskiej familii, bo to wiecie, koledzy, zawsze to dla nich rodzona babka (dajcie no jeszcze CAMELA)...

— Panie poruczniku, my tu na co dzień palimy suszoną herbatę albo liście klonowe — ale ten fircyk z Abwehry na pewno dałby panu całą paczkę JUNO za powtórzenie mu tej gadki.

— Ale ja jeszcze nie skończyłem całej his torii.

Ktoś krzyknął.

— Panowie, do dzwonów!

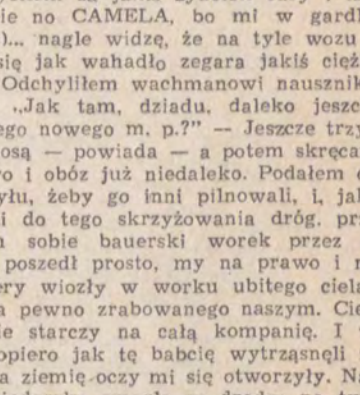

BERNARD SZTAJNERT

Piotr

Piotr gdy u nas się znalazł Piotr zadziwiony światem
Widział domy ogromne (mniemał że świątynie)
Rósł i okrzepł w niewierze (a mniemał że ginie)
Szukał siebie był sobie ogromnym tematem
A mniemał że się zgubił żeby się odzyskać
Że śmierć spożył jak chleby ażeby zmartwychwstać
Chciał coś związać na ziemi by związano w niebie
Kogoś wskrzesić zapragnął a był na pogrzebie
Czyjeś słowa w nim brzmiały których nie przekroczy
Modląc się nadaremnie potarł ślepcom oczy
I ciemność dał im głębszą od tej którą znali
Lecz ślepcy go sławili a nie urągali:
Oto mąż sprawiedliwy co prawa przemienia
Ma swoje cuda niebo ma swoje i ziemia
Opętany rzekł: dotknij wierzę będę zdrowy
Zamiast trzech czartów siedmiu weszło mu do głowy
Opętany dziękował lżej mi dziś z tą zgrają
Bo czart w czarta wstępuje a mnie oszczędzają
Podzielone królestwo czart wypędza czarta
Nauczyciel inaczej uczył lecz uparta
Wiara niebo przetrzyma złamie jego prawa
I zostanie z człowiekiem daremna obawa
Zgrzebne słowa zostaną i ubogie czyny
Pamięć pierwszej i pamięć ostatniej godziny
Słabość biedna zostanie nie siła bogata
Bo ona solą ziemi i światłością świata

TADEUSZ GICGIER

LEKTURY

Przekładam książki z półki bibliotecznej na szafkę przy tapczanie, później z powrotem na półkę. Przeczytałem tylko jedną, na inne zabrakło czasu.

Chodzi za mną w dzień, prześladuje mnie w nocy. Udzielił mi się jej niepokój, nie mogę się od niego uwolnić. Czymże jest jednak niepokój książki przeczytanej, wobec niepokoju idącego z tych nie przeczytanych.

DEFINICJA

Paul Valery napisał: myślenie jest kompliko waniem spraw prostych, a upraszczaniem zawiłych.

Do mnie (znowu do mnie) przystaje tylko pier wszy człon tego stwierdzenia. Jeszcze jeden do wód ludzkiej ułomności.

DWIE SZALE

Szala pamięci i szala zapomnienia (trwania i nieistnienia). Wahają się, która z nich przeważy?

Przeważyła szala pamięci. Moja przegrana.

PRZYWILEJ

Oto prawdziwe oblicze ziemi, odsłonięte spod śniegu przez wiosenne słońce: liszaje zbutwiałej trawy, brudne papiery, pordzewiałe puszki — jedno wielkie śmietnisko. Dzieciom, które wyszły dziś pierwszy raz na dwór, wcale to nie przeszkadza. Nie widzą śmieci, widzą słońce i wodę w kałużach, którą można nabierać do puszek i przenosić do wykopanych dołków. Zabierają się do tej pracy z całym samozaparciem, brodząc po kostki w błocie. Może to przedsmak lata, wakacji nad wodą. A może przywilej wieku, który zostaje bardzo szybko odebrany.

ŁODYGA

Matka idąc śpiewała:

Czerwona jarzębina,
czerwony polny mak,
chłopaczek i dziewczyna
przez piękny idą świat.

Spokój, ufność, pogoda. Może dlatego, że szedłem u boku matki? Schylam się i zrywam łodygę maku. Dopiero teraz czuję, jak daleko odszedłem od tamtych czasów.

BOLESŁAW DUDZIŃSKI

Oddali życie w walce

Wspomnienia i obrazy z ławy szkolnej — to temat wdzięczny i chętnie przez pisarzy podejmowany. Obok pozycji „klasycznych", takich jak: „Syzyfowe prace" Stefana Żeromskiego lub „Wspomnienia niebieskiego mundurka" Wiktora Gomulickiego, można wymienić w naszej literaturze długą listę godnych uwagi utworów z tego właśnie szkolnego zakresu tematycznego. Nazwałem go wdzięcznym w sensie rezonansu, jaki budzi wśród szerokich kół czytelników, ale „wdzięczny" nie zawsze znaczy zarazem — wesoły i zabawny.

Pod względem chronologii ta literatura „szkolna" ma niemałą rozpiętość: od czasów zaborczych aż do lat poprzedzających bezpośrednio wybuch drugiej wojny światowej. W tych ramach czasowych działo się różnie, a bywało i tak, że różową wizję świata, właściwą wczesnej młodości przyćmiewały przejściowo nie tylko potoczne troski, kłopoty i zachmurzenia, lecz bez porównania gorsze — „szczenięce lata" zamykały się klamrą tragicznego finału, a wraz z tym zły los podcinał śmiertelnie istnienie wielu uczestników radosnego festynu młodości.

Tak właśnie sprawy się mają w książce Igora Sikiryckiego pt. „SIEDMIU NIEOBECNYCH"*). Jej konstrukcja nie jest skomplikowana. Narrator, w którym nietrudno się dopatrzyć osoby autora, po dwudziestu z górą latach nieobecności w rodzinnym Lublinie, gdzie zdobywał wiedzę gimnazjalną, odwiedza to miasto i spotkawszy tu jednego z dawnych kolegów, wespół z nim snuje opowieści o „Siedmiu Nieobecnych" — to jest o towarzyszach sztubackiej przeszłości, którzy polegli w walce z hitlerowskim okupantem. Są to piękne i bohaterskie epizody, tym łatwiej utrwalające się w pamięci czytelnika, że opisane po prostu, bez emfazy i afektacji. Ale to nie wszystko.

Wojenną biografię „Siedmiu Nieobecnych" uzupełnia autor wspomnieniami szkolnymi sprzed września 1939 roku, eksponując pewne charakterystyczne cechy osobiste „nieobecnych" już kolegów. Tym sposobem dwie warstwy narracyjne przeplatają się i splatają, tworząc w swej całości niebanalny i wyrazisty wizerunek najmłodszego chyba pokolenia uczestników antyfaszystowskiego ruchu oporu. Ponadto relacje o sprawach przedwojennych umożliwiają autorowi w pewnym zakresie odtworzenie ówczesnej atmosfery naszego szkolnictwa średniego, bowiem to lubelskie gimnazjum zdaje się reprezentować wcale nieźle pewne istotne właściwości obowiązującego podówczas systemu.

A poprzez te osobliwości szkolne można dojrzeć również i coś więcej. Można dojrzeć mianowicie i owe, wcale niebłahe, szczegóły przed wrześniowej rzeczywistości politycznej, na co bystrzejszy czytelnik z pewnością zwróci uwagę. Mam tu na myśli np. niesprawiedliwy i stronniczy stosunek władz szkolnych do syna komunisty (Tadka Mikuły) oraz lekceważącą i pogardliwą postawę wszechwładnego majora (Mełki) wobec tychże władz. Takie „drobiazgi" w powszednim nurcie przedwojennego życia miały przecież nie tylko swą wymowę, lecz i określoną wagę.

Książka Sikiryckiego dedykowana jest „pamięci przyjaciół i kolegów" — właśnie tych „Nieobecnych". Opowieść o ich życiu i przedwczesnym zgonie przeczytają z zainteresowaniem i pożytkiem zarówno dorośli, jak i dorastający czytelnicy. Bo wydaje mi się, że ta książka adresowana jest przede wszystkim do młodzieży, co nie umniejsza, oczywiście, w żadnej mierze zasadniczej wartości „Siedmiu Nieobecnych".

*) Wydawnictwo Łódzkie, str. 160, cena zł 20.

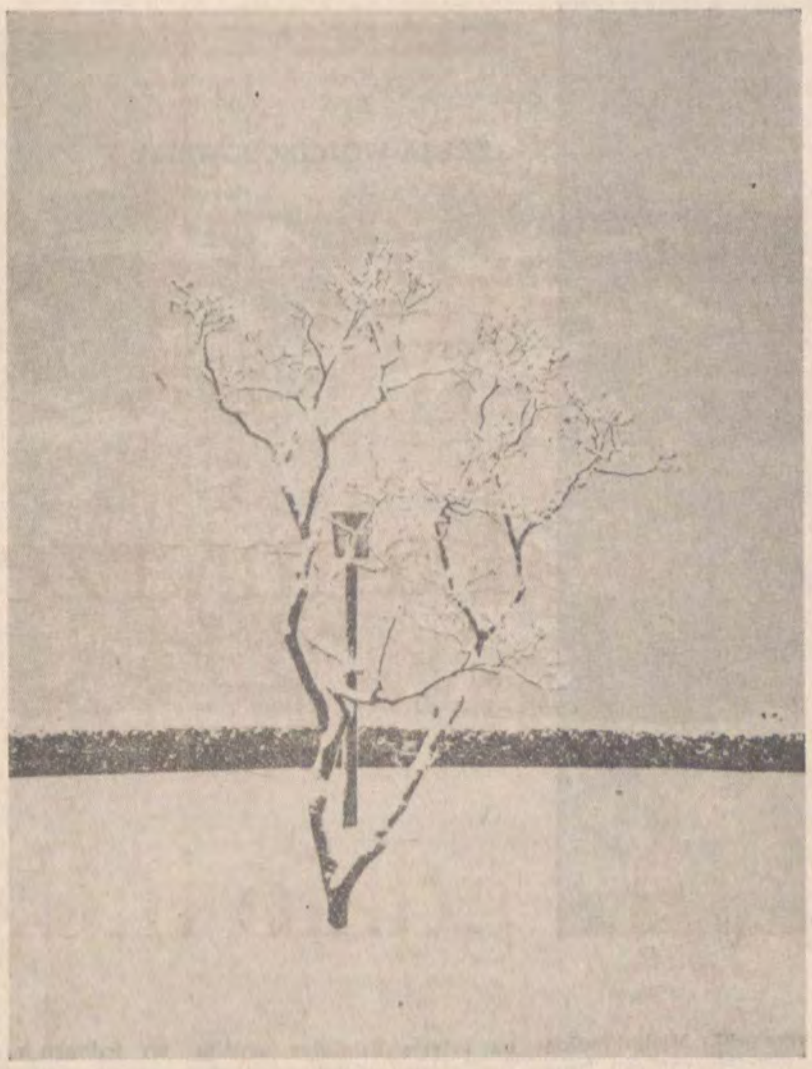

JÓZEF HENRYK WIŚNIEWSKI

„Żelazna sierść"

Niechaj nikogo nie myli optymistyczne, czy może stoickie motto z wiersza René Chara, którym Bernard Antochewicz otwiera swój tomik poetycki „Żelazna sierść". Tom ten jest bowiem rezultatem męskiej i intelektualnej dojrzałości autora, wynikiem gorzkiej refleksji nad kruchością losu człowieczego, człowieka uwikłanego w perypetie historii. Dominantą wydaje się być u naszego autora refleksja pesymistyczna, która wynika także ze słabiej kamuflowanej obsesji przemijania. Narzuca się to wnikliwemu czytelnikowi od początku do końca. Bernard Antochewicz daje nam wizję świata, wizję człowieka uniwersalistyczną opartą na doświadczeniu nie tylko historycznym, lecz także biologicznym. Odwołuje się on, w tej wizji zarówno do doświadczenia sensualnego, jak i historii, a także mitologii. Znajdziemy tu bowiem wiele obrazów, jakby żywcem wyjętych z Biblii, lecz mieści się w niej także doświadczenie historyczne korespondujące z naszymi losami w czasie ostatniej wojny, czy może szerzej w ogóle wojen. Tak więc autor przedstawia nam problematykę moralną.

Myliłby się jednak, kto by sądził, że mamy tu do czynienia z poezją dyskursywną, w której autor prowadzi dialog z historią. Nie, refleksja jest w tych wierszach podporządkowana wizji poetyckiej i wynika z niej, lecz w samych tekstach dyskursu nie znajdziemy. Autor woli oddziaływać na czytelnika poprzez atakowanie jego wyobraźni, niż poprzez dyskursywnie przedstawioną refleksję. Niekiedy stwarza to u niego pewne niebezpieczeństwo, szczególnie wówczas, gdy ulega on urokom obrazów mających walor wyłącznie estetyczny. Sprawia to, iż niektóre teksty wydają się zbyt „literackie" na tle surowych, aż chropawych niekiedy obrazów, dominujących przecież w tej książce. Niekiedy razi także metafora gramatyczna, która rozbija integralność wizji poetyckiej Bernarda Antochewicza.

Wspomnieliśmy o obsesji przemijania mocno wybijającej się w tych wierszach. Nie od rzeczy więc będzie powiedzieć, że została ona wyeksponowana w sposób niebanalny. Niekiedy można by się dopatrywać w tym wpływów wielkiego poety amerykańskiego Johna Robinsona Jeffersa, czy nawet także Ezry Pounda. Nie należy tego traktować jednak, jako zarzutu. Odnieślibyśmy to raczej do postawy autora, niż podobieństwa form poetyckich.

Skoro mowa o poecie ze środowiska wrocławskiego — nie od rzeczy będzie pytanie o jego stosunek do słowa. Boć tam przecież daje się niestety zauważyć niepokojące, bo stadne zjawisko uprawiania praktyk lingwistycznych. Czy uniknął tej rafy Bernard Antochewicz? Jego cykl — „i pojął pasterz język ognia za żonę" w którym dają się szczególnie zauważyć owe praktyki winniśmy traktować jednak raczej jako polemikę z lingwistami. Na dowód tego można więc przytoczyć choćby taki oto fragment:

„słowo jest włosem języka
obracającym planety
w ręce naszej jak latawce"

Jak widać Bernard Antochewicz nie daje się zwieść na manowce poezji lingwistycznej, nie stara się podważać naszego zaufania do tradycyjnych środków wyrazu. Jeśli zaś znajdziemy w tej książce ślady praktyk lingwistycznych, to są one stosowane funkcjonalnie i podporządkowane jego własnej, niepowtarzalnej wizji poetyckiej, niewyrażalnej przy pomocy innych środków. Nie znajdziemy tu owej „zabawy" słowem, raczej poszukiwania nowych środków ekspresji poetyckiej. Lecz autor opiera się skutecznie zwątpieniu w wartość słowa, jako narzędzia komunikacji między ludźmi. Co rzecz prosta sytuuje go na pozycji odrębnej pośród poetów środowiska wrocławskiego, hołdującego w dużej mierze praktykom lingwistycznym.

Najbardziej wysublimowane wizje poetyckie Bernarda Antochewicza, graniczące niekiedy z abstrakcją, podporządkowane są jednak rygorom intelektualnym i moralnym. Dzięki temu nie traci on kontaktu z rzeczywistością w wymiarze humanistycznym.

W sumie omawiany tomik jest zwarty kompozycyjnie i daje jednolitą wizję świata w sposób niezwykle konsekwentny. Bernard Antochewicz potrafi własnym niepokojom nadać takie formy w swych wierszach, że nabierają one cech uniwersalistycznych. „Żelazna sierść" dowodzi, że autor posiada własny, oryginalny światopogląd artystyczny. A to już signum wysokiej świadomości naszego autora.

Bernard Antochewicz: „Żelazna sierść", Wrocław 1969, Wydawnictwo „Ossolineum".

Przeszłość i teraźniejszość

Wspomnienia komandora

Nie chodzi tu wcale o najsławniejszego komandora wszystkich czasów, tego z legendy o Don Juanie, która inspirowała największych twórców dawnych i nowszych czasów. Sprawa dotyczy realiów historycznych i nie ma w sobie nic z legendy. Oto na półce z pamiętnikami, obok wciąż jakże nielicznych wspomnień polskich oficerów marynarki wojennej (przypominam ogłoszone przed paroma laty pamiętniki Bolesława Romanowskiego!), umieściłem najświeższy nowy tom: „Wspomnienia z marynarki wojennej" komandora dyplomowanego Jerzego Kłossowskiego, opublikowane właśnie przez Wydawnictwo MON (1970). Niewiele znam się na morzu, a już nic na marynarce wojennej i nie poszukuję u autora wiedzy fachowej w tym zakresie, odnajduję w jego książce bogate pokłady informacji o sprawach najmniej wyjaśnionych, mianowicie o dziejach powstania Polskiej Marynarki Wojennej po odzyskaniu niepodległości w 1918 roku. Sprawy te stanowią jak dotąd białą plamę w naszym piśmiennictwie wojskowo - historycznym, choć w odniesieniu do innych rodzajów służb wiele już wyjaśniono; niedawno omawiałem na tym miejscu książkę Piotra Staweckiego, która traktowała m. in. o tych zagadnieniach.

Jerzy Kłossowski, z urodzenia kielczanin, z matury warszawiak; odbył studia wojenno - morskie w Petersburgu a następnie pełnił służbę wojskową we flocie rosyjskiej na froncie rosyjsko - niemieckim podczas Pierwszej Wojny Światowej. W 1916 roku rozpoczął naukę w Szkole Lotnictwa Morskiego w Baku nad Morzem Kaspijskim, której z powodu wypadku nie ukończył, później pełnił służbę we flocie na froncie rosyjsko - tureckim. W związku z ewakuacją, którą kierowało dowództwo flotylli w porozumieniu z nowo powstałą Radą Marynarzy, znalazł się J. Kłossowski w Baku, gdzie zastał „już funkcjonujący Komitet Wojskowych Polaków, w którym było zarejestrowanych kilkuset rodaków pragnących powrotu do kraju". Rewolucyjny Komitet Marynarzy w wojennym porcie Baku wydał autorowi zwolnienie ze służby wojskowej i zezwolenie na powrót do kraju, jednak warunki wojenne sprawiły, że droga do Polski miała być długa. Repatriacja trwała przeszło rok i w końcu drogą przez Tyflis, Batumi i Konstantynopol, następnie przez Rumunię dotarł J. Kłossowski do Polski. „Gdy zobaczyliśmy polską placówkę graniczną — wspomina dziś — uwierzyliśmy, że tułaczka skończyła się i jesteśmy w swojej odrodzonej do niepodległego bytu ojczyźnie. Pomimo pół wieku, jakie upłynęło od tej doniosłej chwili, pamiętam sylwetkę i zarys twarzy polskiego porucznika w kożuszku, z plecionymi naramiennikami i legionowej maciejówce. Powitano nas serdecznie, bez żadnych uciążliwych formalności".

Jakże często pierwsze zetknięcie się entuzjasty z urzędem — obojętnie jakim — wyciska się w pamięci na całe dalsze życie! „Byłem nastawiony emocjonalnie na spotkanie z rodzimym środowiskiem morskim — wspomina autor swą pierwszą wizytę w Departamencie Morskim MSW — a tymczasem znalazłem się w bezbarwnym urzędzie, w którym na pierwszy rzut oka aktywność przejawiał głównie personel administracyjno - gospodarczy. Wówczas — usprawiedliwia się niejako — nie miałem jeszcze wystarczających danych, aby we właściwy sposób ocenić trudności tworzenia Polskiej Marynarki Wojennej, choć można było wiele tłumaczyć sobie sytuacją, w jakiej znalazła się odrodzona Polska. Pierwsze wrażenia powstają jednakże podświadomie poza sferą działania logiki i rozsądku, pozostawiając po sobie niezatarty ślad na długo. Tak też było i ze mną, tym bardziej, że pierwsze, najtrudniejsze lata pionierskich poczynań nie ułatwiały zatarcia tego śladu".

Jeżeli czytam ten pamiętnik z żywym zainteresowaniem, to nie dlatego, by obfitował on w anegdoty, jakich wiele we wspomnieniach ludzi morza, by urzekały mnie opisy batalistyczne, których tu przecież nie ma. Śledząc wieloletnią służbę autora w polskiej Marynarce Wojennej, obserwując wraz z nim codzienną pracę I oficera flagowego dowództwa Wybrzeża Morskiego czy szefa Biura Hydrograficznego Marynarki Wojennej, poznając jej wrażenia ze studiów wojskowych we Francji zapoznajemy się z mało wprawdzie spektakularnym, ale jakże ważnym — nie tylko dla naszej wiedzy o tamtych czasach — codziennym trudem ofiarnych ludzi, budujących w odrodzonej Polsce polską Marynarkę Wojenną. Do pracy tej stanął kmdr J. Kłossowski dwukrotnie: raz w 1918 roku, drugi raz w 1945 r., kiedy zgłosił się ochotniczo do służby w Ludowym Wojsku Polskim, został szefem oddziału Marynarki Wojennej przy Ministrze Obrony Narodowej, pełnił szereg odpowiedzialnych funkcji, takich jak zorganizowanie odbioru polskich okrętów internowanych na czas wojny w Szwecji, czy organizacja repatriacji Polaków z Mandżurii. Relacja o tym nowszym okresie działalności autora jest może mniej osobista, bardziej sucha w dążeniu do zachowania obiektywizmu w stosunku do spraw nie zawsze jeszcze zamkniętych. Dostarcza ona czytelnikowi materiału do refleksji, do zastanowienia się nad trudnościami startu, tymi w 1918 i tymi bliższymi nam, w 1945.

JÓZEF GRZELAK

TERESA WOJCIECHOWSKA

W Palmyrze i gdzie indziej

W salach Muzeum Archeologicznego i Etnograficznego eksponowana jest wystawa pn. „Polskie badania archeologiczne w basenie Morza Śródziemnego i Czarnego". Obejmuje ona — w stosunku do wielkości, zasięgu i efektów tych badań — powierzchnię niewielką i niewielką liczbę 109 eksponatów oraz fotogramów, ale organizatorzy (Muzeum Narodowe) zadbali o jasny i przejrzysty układ ekspozycji, a także o zawarcie w szczupłych jej ramach jak najbardziej wszechstronnej informacji o pracach i osiągnięciach polskiej Stacji Archeologii Śródziemnomorskiej UW, kierowanej przez światowej sławy uczonego prof. Kazimierza Michałowskiego.

Eksponowane w Łodzi zabytki pochodzą z badań wykopaliskowych na Bliskim Wschodzie: Egiptu (Edfu, Tell Atrib) Sudanu (Faras), Cypru (Nea Pafos) i Krymu (Mirmeki). Są to bloki kamienne z reliefami, rzeźby kamienne, figurki terrakotowe i brązowe, naczynia kamienne i gliniane, lampki oliwne itd., a także fotogramy terenów wykopalisk i znalezisk, które nie mogły być eksponowane na tej wystawie, jak np. malowidła z Faras czy elementy starożytnej architektury z Dongoli, Aleksandrii i Cypru. Całości dopełniają mapy oznaczające stanowiska polskich archeologów, tablice z tekstami omawiającymi wyniki badań archeologicznych, tabele chronologii zespołów znalezisk itd.

Osiągnięcia polskich archeologów są ogromne. Pamiętamy jeszcze światowej miary sensację naukową sprzed kilku lat — odkrycie przez prof. Michałowskiego bezcennej wartości fresków z Faras. Ostatnio Polska Stacja Archeologii Śródziemnomorskiej znów zadziwiła świat nowym odkryciem nie mniejszej rangi naukowej. Miało ono miejsce w Palmyrze (Syria), gdzie doc. Anna Sadurska odkryła nieznany dotychczas typ grobu skalnego.

Palmyra była w starożytności potężnym miastem — oazą w sercu Pustyni Syryjskiej i stanowiła port dla karawan lądowych. Dzięki położeniu na skrzyżowaniu szlaków handlowych odgrywała poważną rolę gospodarczą, a największy jej rozkwit przypada na przełom er. Za panowania królowej Zenobii, Palmyra została podbita i zniszczona (III w. n. e.) przez rzymskiego cesarza Aurelianа. W VIII w. po raz drugi zniszczona przez Arabów, na zawsze utraciła swe znaczenie. Dziś jest jednym z największych i najciekawszych terenów wykopaliskowych w tym rejonie.

Polska Stacja Archeologiczna prowadzi tam badania od 1959 roku, przeprowadziła już dziewięć kampanii i dokonała wielu interesujących odkryć. Głównym terenem wykopalisk jest Obóz Diokleciana w zachodniej części miasta. Odsłonięto tam główną arterię dzielnicy — Via Pretoriana zamkniętą dwiema monumentalnymi bramami. Odkopano częściowo mury otaczające forum, a pod powierzchnią forum z czasów Dioklecjana, odnaleziono założenia wcześniejszych budynków mieszkalnych z I i II wieku naszej ery. Obecnie wykopaliska prowadzone są w dwóch punktach. Jeden mieści się na terenie tzw. Świątyni Sztandarów, gdzie prace jeszcze nie są ukończone, ale wyniki badań polskich naukowców już dziś pozwalają stwierdzić, że istniały błędy w planach archeologicznych, dokonanych na podstawie wcześniejszych badań. (Badania na terenie Palmyry były prowadzone przez liczne miedzynarodowe ekspedycje już od końca XVII wieku).

Oprócz Świątyni Sztandarów polscy archeolodzy badają teren nekropoli — wielkiego cmentarzyska, gdzie w 1961 roku prof. Michałowski dokonał rewelacyjnego odkrycia nowego typu grobowca, stanowiącego połączenie hypogeum z wieżą.

Sensacją tegorocznego sezonu wykopaliskowego jest odkrycie doc. Anny Sadurskiej. Polska uczona zainteresowała się grotą, która służyła beduińskim pasterzom za schronienie. Wiszące u stropu groty bryły wapienne sprawiały, że uznano jej bedanie za niebezpieczne. Doc. Sadurska, korzystając z obecności polskiej misji górniczej i geologicznej w Palmyrze, poprosiła rodaków o pomoc i dzięki wykorzystaniu rady polskich inżynierów, przystąpiła do prac wykopaliskowych. Efekt był nadspodziewany. Odkryto, że grota była wielkim grobowcem rodzinnym kapłana, głowy jednego z najzamożniejszych rodów Palmyry w II w. n. e. Znaleziono wspaniałe, nie spotykane dotychczas rzeźby nagrobne, przedstawiające postać zmarłego w pozycji półleżącej, otoczone postaciami członków rodziny. Ale to jeszcze nie koniec sensacji. Kontynuacja prac wykopaliskowych wykazała, że wykuta wewnątrz grota była masowym grobem, w którym pochowano ponad sześćdziesięcioro ludzi.

Polska misja archeologiczna prowadzi nadal badania na wielu stanowiskach i z pewnością nieraz jeszcze zadziwi świat swymi odkryciami. Zabytki, które uzyskuje się z tych prac mają bezcenną wartość i z wielu względów, jak choćby wielkość, czy stan w jakim się znajdują, nie zawsze mogą być eksponatami ruchomych wystaw. Dobrze więc, że łodzianie mają okazję bliższego zapoznania się z wynikami badań polskich archeologów choćby w takiej formie, w jakiej zaprezentowało je Muzeum Narodowe w łódzkim Muzeum Archeologicznym. Miejmy nadzieję, że nie będzie to ostatnia wystawa tego typu. Częstsze pokazy, bardziej może wycinkowych prac polskich ekspedycji, pozwoliłyby na pełniejsze informacje o pracach poszczególnych misji.

Półka z książkami

PATRIOTA BEZ PASZPORTU

Walery Wróblewski — generał Komuny Paryskiej, bohater bez skazy i bez... życiorysu. Znamy go jako symbol, jako wygładzoną postać z podręczników szkolnych. A któż wie — pyta Jerzy W. Borejsza — że Wróblewski „przeżył Komunę Paryską o lat bez mała czterdzieści, a w ostatnich latach życia [illegible] się z Władysławem Reymontem i ludźmi z kręgu Stefana Żeromskiego?"

Walery Wróblewski żył lat siedemdziesiąt dwa — 23 lata spędził na ziemi rodzinnej, 4 w Petersburgu i 45 na Zachodzie. Zaledwie parę dni przebywał w Warszawie i kilkanaście lat w Paryżu. Typowy życiorys polskiego rewolucjonisty czasów niewoli. Urodził się w cieniu szubienic, dzieckiem prowadzono go na egzekucję w Wilnie, jako dwudziestoletni młodzieniec uczył się konspiracji, by zaraz potem uchodzić na emigrację.

Młody historyk Jerzy W. Borejsza napisał o nim książkę — bodaj pierwszą kompletną summę życia tego wybitnego rewolucjonisty. Ukazał w niej człowieka dotąd skrytego za symbolicznym malunkiem. „Miał 42 lata, kiedy po wojnie rosyjsko-tureckiej przestał odgrywać czynną rolę w polityce europejskiej. Przez ostatnie trzydzieści lat życia coraz mniej o nim pamiętano..." Dobrze się więc stało, że przypomniano tę piękną postać w rzetelnie opracowanej monografii. J. W.

Jerzy W. Borejsza „Patriota bez paszportu", Czytelnik 1970, cena 20 zł.

DO BIBLIOTEKI MIŁOŚNIKA KOTÓW

Biuro Wydawnicze „Ruch" obdarzyło wielbicieli kotów dwiema pozycjami poetyckimi. Pierwsza z nich, to prześliczne „Wiersze dla Kaji" Joanny Kulmowej. Na przykład:

„Myszka okropnie
zbrzydła,
odkąd zgubiła skrzydła.
A kot
to przepiękne zwierzę,
Bo nie był nietoperzem".

Takich przykładów pisarskiej wirtuozerii autorki jest w książce wiele. A nad to znajdujemy uzasadnienie bytu kota:

„Koty są po to,
by rzucać papierki
kotom..."

Gdy dodamy, że wiersze są obficie zdobione znakomitymi ilustracjami Janusza Grabiańskiego, najpierwszego mistrza wśród portretujących koty, to każdy przyzna, że jest to pozycja znacząca w dziedzinie polskiej poezji felitologicznej. A przy tym stanowi ona doskonałą replikę na „Wiersze o kotach" Eliota. Szkoda jednak, że tylko niewiele ponad 10 proc. nakładu opatrzono w twardą okładkę (10.000 na łączną ilość 90.000 egz.).

Całkiem odmienne uczucia budzi poemat Mieczysławy Buczkówny „O kocie, co chodził własną drogą". Acz kolwiek tytuł sugeruje raczej pokrewieństwo z Kiplingiem, w rzeczywistości jest to nieudolne „brzechwowanie". Epopeja Buczkówny pokazuje nam kota na jeździe, u fryzjera, w sklepie z zabawkami, w barze mlecznym, w żłobku i w kinie. Metoda więc pochodzi od autora „Kaczki Dziwaczki". Ale jaka różnica wartości literackich! Czy Brzechwa kiedykolwiek napisałby coś takiego:

„Niemowlaki przestały ssać
i krzyknęły:
— Mleczka mu dać!"

Albo czy pozwoliłby sobie na takie łamanie rytmu.

„Wystawił pazurki i kły...
A myszki nagle znikły."

Notabene, jak autorka wyobraża sobie kota wystawiającego kły? Czyżby sztuczna szczęka? Pazury zaś kot wysuwał

Zastanawia fakt, że tę pozycję „Ruch" wydał w nakładzie 120.000 egz., a więc niemal o połowę większym niż wiersze J. Kulmowej. Biedne dzieci, które dostaną do ręki tę książeczkę! Oceniając łącznie obie pozycje można stwierdzić, że prosta arytmetyka wykazuje ujemny bilans Biura Wydawniczego „Ruch" w dziedzinie poezji felitologicznej.

Natomiast trzeba wyrazić uznanie Wydawnictwu Harcerskiemu za wydanie w serii „Mój konik" książki Augustyna Urbańczyka „Kot". Jest to krótkie, acz treściwe zarysowanie pochodzenia i historii kota, jego ras oraz najważniejszych zasad opieki nad kotem. Napisano to ładnie, rzeczowo i w sposób zachęcający do pogłębiania wiedzy (autor na końcu podaje literaturę traktującą o kotach). Bardzo więc cenna to lektura dla początkujących i młodocianych felitomanów, przepraszam — kotomiłośników. NFP

Joanna Kulmowa: Wiersze dla Kaji. Ilustrował Janusz Grabiański. Biuro Wydawnicze „Ruch" 1970. Str. 20. Cena egz. w opr. brosz. — 9 zł, w opr. twardej — 14 zł.

Mieczysława Buczkówna: O kocie, co chodził własną drogą. Ilustracje — Halina Gutsche, okładka — Janusz Stanny. Biuro Wydawnicze „Ruch" 1970. Str. 20. Cena zł 3.50.

Augustyn Urbańczyk: Kot. Wydawnictwo Harcerskie 1970. Str. 61. Cena 4 zł.

MIECZYSŁAW BANDURKA

Cztery tysiące kilometrów...

Zanim ukazał się dekret o archiwach powiatowych w 1951 roku, rok wcześniej na terenie woj. łódzkiego zorganizowane zostały po raz pierwszy w dziejach archiwa powiatowe. Jesienią 1950 roku województwo łódzkie mogło się poszczycić, że pierwsze przed innymi województwami zorganizowało pełną sieć archiwalną w tzw. Polsce powiatowej. Zorganizowano wówczas 13 archiwów powiatowych we wszystkich powiatach wchodzących ówcześnie w skład woj. łódzkiego.

Jubileusz 20-lecia tych placówek jest okazją do krótkiego przynajmniej przypomnienia ich dziejów, przedstawienia dorobku oraz trudności w realizacji zadań.

W okresie międzywojennym na terenie woj. łódzkiego istniały tylko dwa archiwa, Archiwum Państwowe w Piotrkowie oraz Archiwum Miejskie w Łodzi. Zbiory tych archiwów były ograniczone. Ograniczone też były ich kompetencje. Większa natomiast część archiwaliów, w pełnym tego słowa znaczeniu, przechowywana była u prywatnych właścicieli przedsiębiorstw przemysłowych i majątków rolnych oraz u różnego rodzaju indywidualnych zbieraczy — niedostępna dla potrzeb społecznych i badań naukowych.

Radykalne zmiany w tym względzie nastąpiły w Polsce Ludowej. Państwo przejmując dobra materialne zabezpieczyło też zabytki kultury. Dlatego obok bibliotek i muzeów powołano archiwa państwowe.

Trudnym zadaniom na terenie jednego, a z czasem — kilku powiatów — musiała podołać placówka z obsadą jednoosobową. Bardzo energicznie i ofiarnie archiwiści powiatowi przystąpili do wykonywania nakreślonych obowiązków. Rozpoczęto poszukiwania w terenie oraz ewidencjonowanie wykrytych materiałów archiwalnych. Przemierzano niekiedy dziesiątki kilometrów, by zarejestrować wartościowy zespół akt, a niekiedy tylko jeden przekaz źródłowy. Miejscem przechowywania archiwaliów najczęściej były strychy, piwnice i różnego rodzaju schowki, nawet sienniki. Różne były przyczyny takiego przechowywania akt. Rzadko nadmiar ostrożności, najczęściej nieznajomość ich wartości.

Już w pierwszym roku działalności archiwów przeprowadzono ponad tysiąc wizytacji archiwów różnych zakładów pracy i urzędów oraz u prywatnych osób. Wizytacje te stwarzały okazję nie tylko do instruowania instytucji o konieczności opieki nad przechowywanymi i wytwarzanymi przez nie aktami, ale umożliwiły wykrywanie akt w terenie. Każda niemal wizytacja w początkowym okresie uwieńczana była nowym odkryciem jakiejś grupy archiwaliów, bądź indywidualnego przekazu. Jednak w tym okresie niechętnie wskazywano miejsce przechowywania akt. Stosunek w tym względzie zmienił się dopiero wówczas, kiedy archiwa zaczęły służyć społeczeństwu, czy to w postaci pierwszych wydawanych odpisów, czy też poprzez organizowanie wystaw, prelekcji, odczytów oraz artykułów i spotkań z dokumentem. Akcja rejestracji i zabezpieczenia spotykała się

ROMAN ŁOBODA

O PISANIU WIERSZY (I)

Jeżeli założymy, że akt twórczy wynika z potrzeby nadania wypowiedzi formy unikalnej, że kształt tej wypowiedzi i tworzywo stanowią o charakterze dzieła artystycznego, można uważać, że poezja w literaturze jest najbardziej uzależniona od naturalnych impulsów.

Proces gromadzenia się w świadomości, a także w podświadomości obrazów, refleksji o swoistym rytmie i kolorycie słów, przemieszczanie się tych elementów w wyodrębnione układy konstrukcyjne powoduję stany emocji, domagające się erupcji. Ta, najbardziej zbliżona do biologicznych potrzeb, psychiczna potrzeba odmodelowywania rzeczywistości poprzez nadawanie jej osobistego piętna, leży u podstaw także większości prób poezjotwórczych. Pierwotna potrzeba modelowania świadomości własnej poprzez niejako konfrontację z jej produktem materialnym — dziełem (najczęściej sztuki) w przypadku poezji jest najprzystępniejszą formą wypowiadania „ego psychicznego". Przystępność ta polega na pozornej prostocie środków i technik wyrazu, „przyrodzona" bowiem możność każdego człowieka wypowiadania swoich uczuć i stanów wynika z komunikacji słownej. Fakt ten dobitnie potwierdza obecna, wydawałoby się paradoksalna, sytuacja w odbiorze i produkcji poetyckiej: mała popularność i poczytność publikowanej poezji, ogromna natomiast rzesza piszących wiersze, a więc wypowiadających swoje „ego psychiczne" tą drogą. Myślę, że dowodów statystycznych nie musi się przytaczać, wystarcza plony ilościowe konkursów poetyckich i teczki redakcji literackich. Obojętność większości tej rzeszy piszących na to, co się w sztuce poetyckiej dzieje, na istotne wartości poezji, szczególnie współczesnej, jest w tym aspekcie zupełnie zrozumiała.

Może się bowiem wydawać, że każde osobiste przeżycie i subiektywna refleksja, dotyczaca rzeczywistości jest unikalna, jak unikalna jest w swej istocie psychika jednostki i jej immanentny stosunek do świata. Liryka zakładając osobisty stosunek poety do rzeczywistości odwołuje sie raczej do skończonego dzieła sztuki, a nie aktu twórczego, a tym bardziej impulsu.

Krąg tzw. osobistych przeżyć jest zdeterminowany socjalnie, kulturowo, psychologicznie; materiał tych przeżyć niezależnie od jego bogactwa czy ubóstwa, podlega eliminacji i uporządkowaniu w pamięci.

Osobnicy, którym proces ten pobudza wyobraźnię lub tylko wprowadza w stan emocji, który jest już impulsem twórczym, często przenoszą na papier zapis swej pamięci, uważając akt twórczy za skończony. Może to być, oczywiście, zapis pamięci, przeżyć także w sferze wyobrażeń, snów, pojęć i ich najrozmaitszych kompilacji z rzeczywistością.

Ta uproszczona funkcja przekształcania się impulsu poetyckiego w poezję wyda je się najczęstszym i najbardziej znamiennym modelem w poezji nieepickiej, bowiem jego (modelu) naturalnym źródłem jest potrzeba wypowiedzenia nagromadzonych złóż swego „ja" wobec świata. Jest to potrzeba, jak już

wspomniałem, prawie fizjologiczna i stąd tyle nieporozumień.

Już w sferze pamięci, w magazynowaniu przeżyć i ich wybiorczemu przyporządkowaniu celom poetyckim tkwi klęska albo sukces dzieła. Prawdopodobnie już teraz, w zbieraniu i eliminacji uczestniczy i decyduje o kształcie dzieła talent. Lepiej jednak tego słowa unikać, gdyż pojęcie, które wyraża, jest zbyt uniwersalne. W każdym razie, jeżeli poezja, powiedzmy wiersz, ma zawierać specyficzne cechy unikalności, to znaczy nie ma być powtórzeniem znanych powszechnie treści poetyckich, w znanej powszechnie formie poetyckiej, słowem jest odarty z wszelkich cech oryginalności czy nawet odrębności, to na ten fakt unikalności składa się co najmniej kilka zasadniczych przyczyn.

Po pierwsze: świadomość artystyczna czyli wiedza o sztuce dzięki której można wyeksploatowanych formuł i faktur poetyckich unikać, albo też je z „premedytacją" rozwijać i przetwarzać.

Po drugie: przyrodzona odporność na napór niewyselekcjonowanej, teoretycznej wiedzy o świecie, przy równoczesnym dużym darze obserwacji, wyciąganiu z nich samodzielnych wniosków i sile kreacyjnej.

Po trzecie: typ pamięci, który nie magazynuje informacji upowszechnionych, a jest uczulony na pierwsze bodźce.

Po czwarte: słuch poetycki uwrażliwiający osobnika na walor słowny — jego czystość, kształt, melodię i możliwości kompilacyjne.

Każda z tych cech, dominując u twórcy, determinuje oddzielny typ poetycki. (Zupełnie wyodrębniona cecha rzadko umożliwia unikalny akt twórczy).

I tak: przewaga pierwszej to typ świadomego estety i kontynuatora. Najczęściej poeci klasycyzujący. Przewaga drugiej — to typ „barbarzyńcy" kreacjonisty. Przewaga trzeciej — to typ poety filozofa i nowatora. Przewaga czwartej — to typ formalistyczny, najczęściej we współczesnej poezji poeta lingwista.

Ten dość dowolny i uproszczony podział jest w niniejszej impresji przydatny wnioskom, również z konieczności pobieżnym, które nasuwają się w zetknięciu z fenomenem tak powszechnego pisania wierszy w wieku wielkiej, społecznej obojętności w odbiorze poezji.

Mała wartość artystyczna ogromnej większości tych wierszy, pisanych przez ludzi, z których wielu może mniemać, że ich kwalifikacje literackie nie ustępują kwalifikacjom poetów drukowanych, a nawet uznanych profesjonalistów, mała wartość tych wierszy wynika z braku co najmniej trzech cech z czterech, które uważam za przyczyny składające się na fakt tworzenia dzieł sztuki o unikalnym charakterze, czyli zgodnie z popularną nomenklaturą — wartościowych.

Najczęstszym z mankamentów spotykanych w utworach mających nawet pewne cechy talentu, to brak świadomości artystycznej lub nawet zupełna niewiedza o sztuce, a co za tym idzie — brak smaku estetycznego i płodzenie utworów, w których przebłyski oryginalności zaćmiewa gąszcz prymitywnych, a często naiwnych i patetycznych sformułowań, metafor, składanych z odprysków zwulgaryzowanych przez kiepskich kontynuatorów przebrzmiałych poetyk.

Ci „poezjotwórcy" popadają najczęściej w przesadne mniemanie o swojej oryginalności i sile kreacyjnej, płynącej z kompletnej niewiedzy. Tylko nielicznym, wybitnym talentom udało się, bądź to jako prymitywom, bądź samoukom, obejść bez tego, co daje świadome uczestnictwo w aktualnych związkach kulturowych z tradycją.

Trzecia cecha — typ poetyckiej pamięci i czwarta — słuch poetycki — zdarzają się częściej i razem mogą niekiedy imitować poprawność wyprodukowanego utworu.

Często utwory „świadomych estetów" stylizowane według najlepszych wzorów z poetyckiej skarbnicy, a nawet zręcznie pastiszowane — zalecają się pięknem reprodukcji, niekiedy falsyfikatu. Nie myślę oczywiście o twórczym przetwarzaniu tradycji lub oryginalnej konty nuacji.

Chciałbym na zakończenie tej części powrócić do aktu twórczego i jego impulsu.

Siła impulsu poetyckiego jest duża, a napięcie utrzymuje się z małymi wahnięciami natężenia, prawie przez cały czas trwania aktu twórczego. W każdym razie w stosunku do napięcia w prozie, napięcie podczas tworzenia poezji u tego samego pisarza bywa na ogół większe. Powracam więc do początkowego sformułowania, że emocjonalne stany przeżywania poetyckiego wyładowują się krócej i gwałtowniej niż w prozie, która więcej zawiera długofalowych obserwacji elementów przemyśleń, refleksji i wymaga również bardziej długofalowej i spokojniejszej roboty — przynajmniej w swej podstawowej masie — konstrukcyjnej i kompozycyjnej.

Dlatego częściej naprzód się „bywa poeta", a później jest się prozaikiem, niż odwrotnie, jeżeli w ogóle uprawia się te dwa rodzaje literackie.

IX OGÓLNOPOLSKI TURNIEJ CZYTELNICZY ZMS

SPRAWA

Pokolenie, które przeżyło okupację ciągle nie potrafi uwolnić się od wspomnień. Wojna zbyt mocno zaciążyła na psychice, legła złowrogim cieniem na przeszłości, pozostawiła wyraźny ślad w późniejszym życiu. Szczególnie mocno odczuli jej wpływ ci, których młodość przypadła na ów posępny okres, w którym dojrzewały i hartowały się ludzkie charaktery. Toteż pokolenie, które przeżyło czas pogardy, wyszło z niego z wyraźnym piętnem, z bolesnym, nie gojącym się pęknięciem, z wiecznie jątrzącą raną, którą będzie się nosić aż po dzień ostatni, po kres wyznaczony śmiercią. Stąd tak częste powroty, wędrówki krętymi drogami partyzanckich szlaków, odtwarzanie czasu heroizmu i czasu męczeństwa, przywoływanie potyczek i bitew oraz tych, którzy nie doszli, nie dotrwali do dnia triumfu.

Bohater powieści Wiesława Jażdżyńskiego „Sprawa" jest także jednym z tych, dla których lata wojny nie stały się jedynie epizodem, zamkniętym rozdziałem. Nosi piętno tamtych dni i spraw, niby ciążący garb, od którego na próżno usiłuje się uwolnić. I choć żyje w świecie realnym, jego „sprawa" rozgrywa się w kategoriach psychologicznych. Wojciech (bohater powieści) postawiony w stan oskarżenia zwraca się ku przeszłości. Jego obsesyjna podejrzliwość każe mu upatrywać wrogów w każdym, kto w jakimś stopniu mógł mieć wpływ lub udział w „jego sprawie". Rozpoczyna się wędrówka: jedna — wiodąca do miejsc działań partyzanckiej grupy BCh, oraz do ludzi z tej grupy, druga — to powrót w przeszłość, odtwarzanie walki o Miasteczko, szukanie związków pomiędzy prawdą a oszczerczym oskarżeniem, które stało się inspiracją do tego prywatnego śledztwa, jakiego podjął się Wojciech.

Wędrówka bohatera staje się jednocześnie jego zwycięstwem i klęską. Przekonuje się, że sama „sprawa" nie jest najważniejsza, choć od niej się wszystko zaczęło, natomiast odkrywa inną, daleko istotniejszą prawdę, jakiej dotąd nie miał czasu zauważyć. Pojmuje, że owi wspaniali i młodzi chłopcy z oddziału partyzanckiego w niczym nie przypominają tych dojrzałych, rzeczowych, pokonanych przez życiowy minimalizm i stabilizację mężczyzn. Pomiędzy nimi, a tamtymi z lasu legła smuga czasu, której nie sposób przekroczyć. Niepokój bohatera, jego nieustanna dociekliwość, upartość zmierzająca do odtworzenia bitwy o Miasteczko, w której zginął Żegota, wywołuje u nich życzliwą pobłażliwość i niezrozumienie. Dla nich jest ważny dzień dzisiejszy, dla Wojciecha prawda historyczna, której był uczestnikiem i twórcą.

Dzieje Wojciecha, jego „sprawa", powiązanie problematyki okupacyjnej z naszą współczesnością są charakterystyczne dla twórczości Wiesława Jażdżyńskiego. Jest on autorem konsekwentnym, usiłującym dokonać analizy postaw moralnych, społecznych, politycznych i psychologicznych ludzi, których życiorysy wchłonęły w siebie walkę z wrogiem i odbudowę powojennej rzeczywistości. Właściwie okupacja jest punktem wyjścia do rozwijania określonych koncepcji intelektualnych i ideowych. Jest dociekaniem przyczyn procesów zachodzących w pokoleniu, które swoją młodość przeżyło w trudnych, skomplikowanych warunkach ostatniej wojny, a teraz stara się odsunąć od siebie tę przeszłość, a jeśli się nawet da, zapomnieć o niej. Pociąga Wiesława Jażdżyńskiego człowiek uwikłany w koła historii, geneza zjawisk obecnych w życiu, odpowiedzialność nie tylko wobec innych, lecz wobec siebie.

Książka nie jest łatwa, choć z pozoru peregrynacje bohatera mogą wydać się pospolitymi wędrówkami służącymi wyjaśnieniu oszczerczego oskarżenia. Takie wrażenie zawdzięcza się przede wszystkim świetnej narracji cechującej pisarstwo Wiesława Jażdżyńskiego.

E. I.

Wiesław Jażdżyński: Sprawa. Sp. Wyd. Czytelnik. 1969 r. Stron 262. Cena 15 zł.

---

z coraz większym zrozumieniem.

Wielką pomocą w pracach nad zabezpieczeniem akt przed zniszczeniem były rozporządzenia władz państwowych. To nie znaczy jednak, byśmy się nie spotykali z samowolnym niszczeniem akt. Toteż archiwiści powiatowi musieli przeprowadzać kontrole zbiornic odpadków, gdzie dość często znajdowano niekiedy bardzo cenne materiały archiwalne i biblioteczne. Wysiłek ofiarnej pracy skromnego grona archiwistów w krótkim czasie przyniósł poważne rezultaty. Już w pierwszych miesiącach działalności terenowej archiwa powiatowe zgromadziły sporo akt. W pierwszej kolejności były to akta miast i gmin XIX i XX-wiecznych, następnie akta sądowe i podworskie, akta instytucji oświatowych i organizacji społecznych, w tym akta cechowe, akta przedsiębiorstw, zbiory i kolekcje, akta władz i urzędów z okresu pierwszych dni Polski Ludowej, prasę i materiały ulotne oraz zbiory ikonograficzne i dokumentację techniczną.

Statystycznie rzecz ujmując w ciągu 20 lat zgromadzono około czterech kilometrów bieżących akt ułożonych systemem bibliotecznym, tj. 260 tysięcy jednostek archiwalnych. Należy przy tym podkreślić, że zgromadzone zbiory w 100 procentach zostały zabezpieczone, a w ponad 90 proc. już opracowane i udostępnione badaczom naukowym oraz dla celów administracyjnych.

Zabezpieczanie, gromadzenie i opracowanie to tylko część prac wykonywanych przez archiwistów. Na terenie woj. łódzkiego, w oparciu o zgromadzone materiały, rozpoczęto tzw. prace kulturalno-oświatowe. Na konferencji dyrektorów archiwów wojewódzkich z całej Polski, która odbyła się na Zamku Łęczyckim w 1952 roku, archiwa terenowe wystąpiły z propozycją kontynuowania tych prac. Początki były bardzo skromne. Najczęściej były to pogadanki o tematyce regionalno-historycznej i archiwalnej. Z czasem przystąpiono do organizowania wystaw archiwalnych i pokazów oraz do publikowania artykułów prasowych. Obok dużych wystaw organizowano również okolicznościowe pokazy dokumentów i literatury regionalnej. Rezultaty pracy regionalnej archiwów powiatowych sprawiły, że archiwa te uczestniczą we wszelkich imprezach kulturalnych w terenie. Przy współudziale kierowników archiwów powiatowych zorganizowano wiele sesji wyjazdowych Łódzkiego Oddziału PTH. Poszczególni kierownicy otrzymali za swą pracę nagrody i wyróżnienia oraz odznaczenia państwowe od władz terenowych. Mówiąc o zasługach nie sposób nie wymienić najbardziej zasłużonych organizatorów powiatowych placówek archiwalnych i pracujących przez całe 20-lecie i dłużej. Do tych należą: Maria Karbowska, kierownik archiwum w Piotrkowie, Halina Strzelczyk ze Skierniewic oraz Włodzimierz Rudzia z Tomaszowa Mazowieckiego.

Oceniając pracę archiwów powiatowych z perspektywy 20 lat i biorąc pod uwagę trudności, jakie musiały pokonywać, należy stwierdzić poważne osiągnięcia zarówno w pracach organizacyjnych, jak też w inspekcyjnych oraz w opracowywaniu zasobu i prac regionalnych. Osiągnięcia te nie mogą nam przysłaniać jednak dalszych prac, oczekujących pilnego wykonania.

Dla dobra powiatowych placówek archiwalnych, a w szczególności dla dobra potrzeb społecznych, placówkom tym niezwłocznie należy przyjść z pomocą. Przede wszystkim potrzebne jest wzmocnienie obsady personalnej.

Nie mniej ważną sprawą jest sytuacja lokalowa i materialne wyposażenie pomieszczeń. Poza archiwum piotrkowskim, żadne z wymienionych archiwów nie posiada odpowiednich warunków lokalowych.

Dziwny jest stosunek władz terenowych, które przecież stanowią niekiedy jedyne źródło wiadomości do dziejów regionu, na którym oni i ich przodkowie żyli i działali. Placówki archiwalne najchętniej widziałoby się albo w piwnicy — jak np. w Skierniewicach, albo w starym, ciasnym, zgrzybiałym domu — jak w Łęczycy. Dziwniejszy jest fakt, że poszczególne prezydia rad narodowych nie widzą i nie chcą widzieć potrzeb archiwów na swym terenie. Złym przykładem takiego stosunku może być PMRN w Łęczycy, gdzie na usilne starania ze strony archiwum, albo odpowiada się milczeniem, albo w najlepszym wypadku, negatywnie.

Być może, z okazji następnego jubileuszu nie będziemy już utyskiwali na niedomogi w tym względzie. Być może archiwa powiatowe kiedyś będą traktowane na równi z muzeami regionalnymi. I archiwom z okazji ich jubileuszu i sprawom jakie one reprezentują, życzymy tego z całego serca.

Ekipa literacka kanclerza Brandta

W przeciwieństwie do jednego ze swoich niedawnych poprzedników, kanclerza Ludwika Erhardta, który z wyraźną niechęcią odnosił się do pisarzy NRF o obliczu postępowym, kanclerz Brandt, swego czasu dziennikarz z zawodu i z zamiłowania, ma do literatury stosunek życzliwy i rzeczowy. Nic więc dziwnego, że jadąc do Warszawy, włączył do swego najbliższego otoczenia dwóch wybitnych pisarzy: Guntherа Krassa i Siegfrieda Lenza.

Zanim zapoznamy czytelników z ich sylwetkami warto powiedzieć na wstępie, że w dziedzinie, żeby się tak wyrazić pozaliterackiej, są oni rodzajem braci sjamskich. Mają te same lata, około czterdziestu pięciu, urodzili się, spędzili swe dzieciństwo, na ziemiach obecnie polskich — Grass na Kaszubach, Lenz na Mazurach. Działalność obaj rozpoczęli jako członkowie postępowej grupy literackiej 47, z której obok nich wyszedł również Heinrich Boll obaj z biegiem czasu stali się tak zwanymi twórcami zaangażowanymi.

Już za czasów Adenauera i Grass i Lenz opowiadali się niejednokrotnie za uznaniem naszej granicy na Odrze, za polityką wschodnią, propagowaną, a obecnie realizowaną przez Brandta. Podczas ostatniej kampanii wyborczej do Reichstagu Grass zawiesił na jakiś czas pisanie, stał się politycznym propagandystą SPD, wygłosił kilkaset agitacyjnych przemówień wyborczych.

Zarówno Grass jak i Lenz talenty literackie biegunowo różne, znani są w Polsce z rozgłosu, jakim się cieszą na szerokim świecie — obaj zdobyli trudny dla Niemców rynek amerykański — oraz z przekładów, na razie nielicznych. Przed kilku laty pojawiło się tłumaczenie opowiadania Grass **sa „Kot i mysz"**, które zaadaptował i wystawił na swej scence jeden z krakowskich teatrów studenckich, grana była w Krakowie sztuka Lenza „Dziewięciu niewinnych" oraz wyszła jego powieść „Całe miasto o tym mówi", rozgrywająca się w Norwegii w latach okupacji. Na rok 1971 Państwowy Instytut Wydawniczy zapowiada „Blaszany bębenek" Grassa, powieść rozgrywającą się w Gdańsku, w pierwszych miesiącach hitlerowskiego najazdu, a Czytelnik powieść Lenza „Deutschstunde" („Lekcja niemieckiego").

Oddajmy teraz głos Guntherowi Grassowi. Powiedział między innymi: Cieszy mnie bardzo, że czytelnik polski zapozna się wreszcie z „Blaszanym bębenkiem". Mam nadzieję, że taki sam los spotka drugą moją powieść „Hundejahre", napisaną i wydaną przed laty. Ochłonawszy z kampanii wyborczej, co nie oznacza, żebym w ogóle wyłączył się z polityki i nie poświęcał czasu i wysiłków, by agitować za ratyfikacją traktatu Warszawa — Bonn, zabrałem się do czegoś w rodzaju pamiętnika. Powiedziałem w rodzaju, ponieważ warstwa ściśle wspomnieniowa przetykana jest, i to gęsto, refleksjami, nie mającymi nic wspólnego z przeszłością ani z chronologią pamiętnika. Mam troje dzieci, jestem w ciągłych rozjazdach, niewiele mi pozostaje czasu na przebywanie z nimi, więc może pamiętnik zastąpi im opowiadanie o tym, co ich ojciec czuje i myśli. Mówił pan — ciągnie dalej Grass — chyba nie należy przeceniać wpływu literatury na mentalność mas, bo przecież stosunkowo niedawno, czterdzieści lat temu, miliony Niemców czytały „Na zachodzie bez zmian" Remarque'a, a w kilka lat później te same miliony Niemców z entuzjazmem maszerowały na ludobójczą wojnę. Sformułowałbym swoją odpowiedź tak: W republice weimarskiej było sporo pisarzy ultrareakcyjnych, bardzo popularnych i poczytnych, żeby wymienić tylko Johsta. W republice federalnej Johstów prawie nie ma, a „Johściki" coraz mniej są czytane. Pytano mnie w Polsce o nakłady moich książek. Są one istotnie duże, ale dla rynku wydawniczego w NRF nietypowe. Dla przykładu podam, że „Blaszany bębenek" w ciągu dziesięciu lat osiągnął w NRF milion trzysta tysięcy sprzedanych egzemplarzy, zdobył także niemały sukces w Stanach Zjednoczonych. Z krajów europejskich najbardziej chłonnym rynkiem przekładowym są chyba kraje skandynawskie.

Oddajmy teraz głos Siegfriedowi Lenzowi. Oto mniej więcej jego słowa: Zacząłem od nowel i krótkich opowiadań. Tomik opowiadań lirycznych poświęconych Mazurom, wydany w roku 1955 pod tytułem „So żartlich war Sulevken" znalazł licznych i przychylnych czytelników. Potem przyszły utwory prozą, mniej lub więcej udane sztuki teatralne. A w zeszłym roku powieść moja „Deutschstunde" poświęcona problemom władzy i wiedzy we współczesnych Niemczech stała się bestsellerem, co chyba najbardziej zaskoczyło mnie samego. W ciągu roku sprzedano sześćset tysięcy egzemplarzy, książka została przetłumaczona na siedemnaście języków. Na ogół miałem krytyki pozytywne, ale kilku recenzentów dało mi dobrze w kość. Że kalam świętości, że pluję we własne gniazdo itd., itd. Skoro jesteśmy przy krytyce to wydaje mi się, że może ona zrobić i sporo dobrego i niemało złego. Oto przykład najbardziej jaskrawy: Druzgocące krytyki historyka literatury niemieckiej Hansa Mayera sprawiły, że pisarz Kramer, autor kilku wartościowych książek, pożegnał się z literaturą i zajął się wyłącznie filmem. Mojej skromnej osobie zarzucano, że przed światem „denuncjuję" mentalność niemiecką, że jestem **antyfaszystą indywidualnym** a nie, jakby należało, klasowym. Ale ze mnie twardy Mazur, nie załamałem się i ślęczę nad obszerną powieścią, którą chyba skończę nie prędzej niż za dwa, trzy lata. Jest to historia trzech byłych nauczycieli, którzy na wniosek Ministerstwa Oświaty opracowują książkę reprezentatywną dla obecnych czasów. Dla relaksu rzucam od czasu do czasu jakieś krótkie opowiadania. To mniej więcej byłoby wszystko co miałbym o sobie do powiedzenia.

Czas jechać na lotnisko, gdzie na naszych pisarzy czeka samolot kanclerza, który zabiera z powrotem swą świtę aby mu w dalszym ciągu równie rzetelnie i żarliwie pomagała w wyrywaniu kakolu zasianego przez Adenauera i jego epigonów.

Z pisarzami rozmawiał:
JACEK FRUEHLING

Listy do Redakcji

SZANOWNY PANIE REDAKTORZE!

W 47 numerze „Odgłosów" ukazały się „Deliberacje o wystawiennictwie". Jak już z tytułu wynika, autor nie bardzo „siedzi" w temacie, bo wystawiennictwo, to sztuka wystawiania, a nie wystawianie sztuki, jak wynika z treści tytułu. Ten, nie jedyny zresztą, błąd werbalny to głupstwo w porównaniu z meritum artykułu. Otóż autor ni mniej ni więcej **tylko sugeruje czytelnikom, że** twórcy mają tworzyć i siedzieć cicho, a co z ich twórczością będzie się dalej działo, czy będzie, czy nie będzie przedstawiana odbiorcom — od tego im wara. O tym zadecydują „specjaliści" z urzędu. Teoria znana.

„Deliberacje o wystawiennictwie" to rozważania na temat planu wystaw BWA. Niewiele na ten temat w artykule. Nie wiele zresztą sam autor wie chyba na ten temat. Mieszą pojęcia, niewybrednie szarga środowisko, nie dając właściwie żadnej propozycji. Muszę więc zwrócić uwagę, że najlepiej nawet ułożony plan wystaw BWA nie da żadnego rezultatu bez szerokiego działania upowszechniającego sztukę. Bowiem wizyta w lokalu wystawowym to efekt finalny wysiłków propagandowych w tym względzie. I tu jest pole do popisu dla „specjalistów" z urzędu.

JERZY JANKOWSKI

TELEOBIEKTYW

Teatr — autor — telewizja

W ostatniej, ubiegłorocznej „Panoramie literackiej" (14. XII.) poruszono temat niebłahy i z pewnością niełatwy. O tym, że niełatwy świadczyła pewna bezradność dyskutantów, którzy na moje wyczucie więcej markowali zdecydowane przekonania i różnice poglądów niż je w rzeczywistości zaprezentowali.

W dodatku skład dyskutantów był mocny. O prawie teatru do ingerencji w tekst dramatyczny i o granicach tego prawa mówili: teatrolog Stefan Treugutt, reżyser Adam Hanuszkiewicz i pisarze — Bohdan Drozdowski i Jerzy Jurandot. Dyskusję prowadził jak zwykle Roman Samsel. A więc takie tuzy zaproszono do publicznej wymiany zdań, nie pożałowano filmowej oprawy, a efekt osiągnięto raczej skromny.

Autonomia teatru jako samodzielnej sztuki, która przetapia w swoim tyglu elementy innych sztuk, takich jak plastyka muzyka, choreografia, sztuka aktorska, nie ulega wątpliwości. Wszystkie te elementy służą syntezie, nowej jakości, stara stanowi spektakl teatralny, przemawiający do widza każdą ze swych cech z osobna i wszystkimi razem.

Wątpliwości zaczynają się, gdy dotkniemy sprawy słowa ukształtowanego przez pisarza dla potrzeb teatru. Otóż właśnie, czy dla potrzeb? Czy dramat powstaje dla teatru, jako swoisty półsurowiec, jako jeden z elementów budulca, z którego zrodzi się widowisko? Czy też odwrotnie, teatr spełnia funkcję służebną w stosunku do literatury dramatycznej, ma ją ożywić i nagłośnić, stać się dla niej tylko środkiem przekazu?

Dla każdego, kto śledzi rozwój współczesnego teatru jest oczywiste, że pogląd pragnący zepchnąć teatr do roli przekaźnika, uznać należy za anachroniczny. Od dawna już ambitni twórcy teatralni uważają za podstawowy cel swego artystycznego działania ostateczny kształt sceniczny widowiska we wszystkich jego elementach strukturalnych. Z myślą o tym finalnym efekcie, nie wahają się ingerować często zdecydowanie w tekst dramatyczny.

A granice tej ingerencji? Któż na to potrafi odpowiedzieć? Jedno pewne. Zwycięzców nie oddaje się pod sąd (że użyję słów Katarzyny II). Wybitny spektakl teatralny obroni się zawsze przed zarzutami, że przeformował, czy zniekształcił układ dramatyczny. Zaś złego przedstawienia nie uratuje fakt, że reżyser zachował się wobec tekstu autorskiego z wiernością i szacunkiem.

Żaden jednak artysta nie jest w działaniu pewien końcowego rezultatu. Często więc zdarza się, że pomysł jest ambitny, w imię jego inscenizator energicznie ingeruje w tekst dramatyczny, a całość robi generalną klapę. Wtedy sypią się na reżysera cięgi ze wszystkich stron. Między innymi bije się go za odstępstwa od tekstu. Ale to nie powstrzyma ludzi teatru przed ingerencjami w zapis dramatyczny przy następnej okazji.

Czy oznacza to zmierzch sztuki dramatycznej, czy dramatopisarstwa? Nie. Zarysowuje się tylko podwójna funkcja tego rodzaju literackiego. Czysto literacka, autonomiczna — może być utrwalona w sposób niezmienny i zgodny z wolą autora w druku. Ten sam tekst wzięty na warsztat teatralny zmienia się w swoisty surowiec, podlegający scenicznej obróbce o zasięgu ograniczonym tylko koncepcją inscenizatora.

A więc jedynie druk może być wiernym przekaźnikiem dramatu? Na szczęście dla dramaturgów działa dziś inny potężny środek przekazu tekstu literackiego: telewizja. Tu słowo dramatyczne odgrywa niezaprzeczalnie wiodącą rolę, a ingerencja inscenizacyjna ma zasięg wyraźnie zawężony. Mówił o tym na zakończenie „Panoramy literackiej" naczelny redaktor programów artystycznych TV Henryk Bieniewski. Zabrzmiało to optymistycznie.

Władysław Orłowski

P.S. Zgoda na ingerencje inscenizatora w tekst dramatyczny, nie ma natomiast zgody na ingerencje, zniekształcające intencje autora. W moim felietonie, w „Odgłosach" z dn. 13.XII., ukazało się zdanie: „Dopiero zderzenie dwóch marzeń, Grzegorza i starego Szkota (...) wykazuje fikcyjność i bezczelność ich ideałów". W tekście użyłem słowa bezcielesność.

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Ostatnie dwa miesiące cechuje obfitość premier polskich filmów, nie wyłania się z nich jednakże zbyt radosny obraz polskiej kinematografii. Do sprawy tej powrócimy w jednym z najbliższych numerów. Dziś kilka uwag szczegółowych o dwu nowych polskich filmach: „MAŁYM" Juliana Dziedziny i „PROMIE" Jerzego Afanasjewa.

Julian Dziedzina, po trzech filmach, w których mniej lub bardziej udatnie mierzył się z problematyką sportową, w „Małym" powraca do interesującej go ongi problematyki społeczno-obyczajowej. Bohaterowie jego ostatniego filmu to mieszkańcy hoteli robotniczych, ludzie, którzy przyszedłszy ze wsi lub małych miasteczek, pracują w wielkim przemyśle, są mu potrzebni, lecz nie znajdują dla siebie miejsca w życiu społeczeństw dużych miast.

Jeśli wierzyć twórcom filmu, życie tych ludzi toczy się na granicy wegetacji, której obszar zakreśla miejsce pracy i obskurny pokój hotelu robotniczego, a wypełniają poza pracą wódka i karty. Ludziom tym nie nadano nawet imion — wiemy, że mamy do czynienia z Grubym, Nijakim, Starym i Małym. Są brudni, niechlujni, obrzydliwi. Żyją poza społecznością, bez ambicji i planów — jedynym marzeniem, i to bohatera pozytywnego — czyli Małego — różnią cego się wielce od reszty współtowarzyszy, jest przekroczenie progu prawdziwego warszawskiego domu. Pozostałe marzenia symbolizują podręczniki szkolne, które leżą nie używane w szafie. Beznadzieja życia tych ludzi jest tak straszliwa, że aż budzi zwątpienie.

Pewne uczucie niedowierzania, jakie wywołuje ten film, wynika z przerysowań tkwiących już w samym bardzo melodramatycznym scenariuszu i w sytuacyjnych rozwiązaniach filmowych. Przerysowano na pewno postacie bohaterów — powierzenie ich ról tak skądinąd dobrym aktorom jak Lutkiewicz i Gołas, w tym wypadku wywołuje bardziej oczekiwanie na sytuację skeczową aniżeli autentyczną prawdę żywota tych ludzi. Dość nieuczciwym wobec tematu zabiegiem jest stosowanie takiej skali kontrastów, jakie są nieuniknione, gdy konfrontuje się pokój hotelu robotniczego z ekskluzywną willą, gdy z tego pokoju każe się bohaterowi wpaść w objęcia Maryli Rodowicz, śpiewającej w „Hybrydach".

Między tymi dwoma biegunami nie ma prawdy o tym, jak to właściwie W Polsce się żyje. Chyba, że chodziło realizatorom o to, by powiedzieć — patrzcie, ludzie, jaka to w kraju naszym niesprawiedliwość: robotnik żyje w norze, a pan dyrektor w willi, bardzo śliczna panienka ze wsi wstydzić się musi swej funkcji pomocy domowej, a równie śliczna studentka, córeczka pana dyrektora, może pozwolić sobie na przyjaźń z robotnikiem, może jeździć na weekendy i chodzić do „Hybryd".

Gdybyśmy film chwalili za jego niewątpliwą sprawność warsztatową, byłaby to chyba obraza dla reżysera.

* ☆ *

Jerzy Afanasjew, pisarz i reżyser filmowy, jeden z ciekawszych przedstawicieli awangardy artystycznej, kończąc w roku 1965 studia w PWSTiF do wszystkich dotychczasowych swoich umiejętności i zawodów dołączył jeszcze fach reżysera filmowego. Film „PROM" jest jego debiutem reżyserskim w kategorii pełnometrażowych filmów fabularnych, dla miłośników jego talentu jest jednak absolutnym zaskoczeniem. Afanasjew od wczesnej młodości związany z Wybrzeżem i z ludźmi morza, swój pierwszy film im widać chciał poświęcić.

Jest rok 1945, pierwsze dni osadnictwa na Wybrzeżu. Prom przewożący przez Wisłę przybyłych na tę ziemię ludzi zrywa się z lin pod naporem kry i dryfuje w kierunku zaminowanego jeszcze morza. Treścią filmu jest walka o uratowanie tych ludzi — oglądamy więc dramatyczne jej chwile, rozbitków zdanych na łaskę i niełaskę rozszalałego żywiołu i czyhających min oraz tych, którzy z narażeniem własnego życia śpieszą im na pomoc. Sytuacja to wielce dramatyczna, poszczególne jej chwile obfitują w niewątpliwe napięcia, a jednak całość pozostawia nas chłodnymi. Nie wiem, czy można nas obwiniać o niewrażliwość. Źródeł niemożności pełnego zaangażowania się w zdarzenia szukać chyba trzeba w pewnym stereotypie sytuacji. Stereotyp sytuacji rozumiem tu niejako nadrzędnie jako pewną typowość sytuacji sensacyjnej, której szczęśliwy finał możemy niejako z góry przewidzieć. Wypełnić ją zatem mogą, nie więcej lub mniej dramatyczne zdarzenia cząstkowe, ale koncentracja naszej uwagi na psychologii zbiorowości bądź postawach i reakcjach jednostek — im one będą pełniejsze, tym my będziemy bliżsi bohaterom i wydarzeniom.

W filmie Afanasjewa nie ma niespodzianek — są, jak się rzekło, stereotypy rozwiązań sytuacyjnych i zachowań ludzkich. Brak też filmowi wewnętrznego rytmu, jest po prostu nijaki. Jego najmocniejszym akcentem jest zdanie kończące film, a informujące zebranych na sali widzów, że „Prom" zrealizowano na podstawie zdarzeń autentycznych.

Wypada sądzić, że warto chyba poczekać na film, który w temacie i poetyce bliższy będzie osobowości artystycznej Jerzego Afanasjewa.

E. N.

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

SZTUKA DRAMATYCZNA JAMES JOYCE'A

„Moje serce wypełnia gorycz i zwątpienie" — żalił się w roku 1909 Irlandczyk, dziś głośny pisarz, autor „Ulissesa", James Joyce (1882—1941).

„W mej duszy mam głęboką ranę zwątpienia, która nigdy się nie zagoi" — skarży się także Irlandczyk, Ryszard Rowan, bohater sztuki James Joyce'a pt. „Wygnańcy" (Exiles).

Jedyna to sztuka teatralna, jaką napisał James Joyce. Za życia autora nie miała powodzenia, wywoływała jedynie zgorszenie. Została w roku 1913 odrzucona przez teatr w Trieście, nie przyjęta w roku 1915 w Zurychu, wystawiona wreszcie w roku 1918 w Monachium nie utrzymała się długo na scenie. Grywana potem od czasu do czasu przez prowincjonalne i studenckie teatrzyki, ulegała niemal całkowitemu zapomnieniu.

James Joyce i Nora Barnade

Obecnie angielski dramaturg, aktor i reżyser Harold Pinter pokazał ją w nowej inscenizacji w londyńskim teatrze „Mermaid" i dopiero teraz dramat Joyce'a zdobywa sukcesy, a takie pisma jak „The Daily Telegraph" czy „The Sunday Times" są pełne zachwytu dla „Wygnańców".

Sztuka oparta jest niewątpliwie na przeżyciach samego Joyce'a. Nawet jej bohater, według wskazówek w tekście autora, podobny jest do niego samego: „Ma kasztanowate włosy, wąsy i nosi okulary". Bohaterem „Wygnańców" jest pisarz Ryszard Rowan który po dziewięcioletnim pobycie za granicą, wraz ze swą przyjaciółką i towarzyszką życia, wraca wreszcie do ojczystego Dublina. Tu przyjaciel Ryszarda, dziennikarz Robert Hand usiłuje uwieść piękną przyjaciółkę Ryszarda, Bertę. Ten zaś widząc te usiłowania, nie robi nic aby im przeszkodzić. Co więcej, zdaje się pragnąć samoudręczenia — być zdradzonym równocześnie przez przyjaciela i przyjaciółkę. W sztuce miesza się rzeczywistość ze snem. Robert zdobywa piękną Bertę i to bez specjalnych oporów z jej strony. Czy jednak tak jest istotnie? Robert nie jest sam tego pewien. Może było to tylko senne widzenie? Ryszarda zaś dręczy piekło zazdrości. Zwątpił w wierność Berty choć ona zapewnia go, że należy wyłącznie do niego.

Te same zwątpienia przeżył niegdyś Joyce. W roku 1904 poznał i zakochał się z wzajemnością w córce piekarza pięknej Norze Barnacle. W pięć lat potem wraca z nią z Triestu do rodzinnego Dublina. I wówczas to przyjaciel Joyce'a, dziennikarz Vincent Cosgrave w przystępie szczerości wyznaje autorowi „Ulissesa", że piękna Nora zdradziła go jeszcze w roku 1904. Z kim? Właśnie z nim, Vincentem Cosgrave. „Moje oczy są pełne łez z rozpaczy i upokorzenia" — pisał Joyce do swej ukochanej Nory. „Wciąż widzę tylko twą twarz, zwróconą niegdyś ku innemu. O! Noro! Miej litość nade mną i nad mym bólem. Będę płakał całymi dniami". Pisał to ten sam Joyce, który w roku 1912 — jak to stwierdzają biografowie — zachęcał dziennikarza z Triestu, Roberto Prezioso do płomiennego flirtu z Norą po to tylko by później kpić z niego jako nie fortunnego uwodziciela.

JAK BUDOWANO EGIPSKIE PIRAMIDY?

Od czterdziestu wieków historycy i archeologowie zastanawiają się nad tym w jaki sposób starożytni Egipcjanie budowali piramidy. Utarło się na ogół przekonanie, że ponad sto tysięcy ludzi pracowało przy wznoszeniu na przykład piramidy Cheopsa.

Ostatnio 75-letni amator-egiptolog, były inżynier-stoczniowiec, Amerykanin pochodzenia norweskiego, Olaf Tellefsen wystąpił z nową teorią. Twierdzi on, że odkrył sposób w jaki wznoszono niegdyś grobowce faraonów i że przy tej metodzie zaledwie trzy tysiące ludzi mogło wznieść piramidę. Kilka lat temu Tellefsen podróżował Nilem po Egipcie. Podczas jakiegoś postoju spostrzegł on trzech Egipcjan, którzy podnosili olbrzymi blok kamienny za pomocą prostej dźwigni. Dźwignia ta była belką o długości sześciu metrów wspartą na drewnianej podstawie. Jedno z ramion owej dźwigni było pięć razy dłuższe niż ramię drugie. Dzięki temu zastosowanie pięciokrotnie niższej siły pozwalało na uniesienie kamienia do góry. Tellefsen uważa, że przy pomocy takich właśnie dźwigni budowano niegdyś piramidy. Dotąd wiedziano tylko, że starożytni Egipcjanie używali jedynie pochylni. Gdyby używano tylko pochylni, mówi Tellefsen, transport wielkich bloków kamiennych od brzegów Nilu, aż do miejsca powstawania piramidy byłby jeszcze trudniejszy niż wzniesienie samej budowli. Zdaniem więc amatora-egiptologa transportowanie olbrzymich bloków kamiennych i układanie ich w piramidę odbywało się zarówno przy pomocy gładkich posmarowanych oliwą pochylni jak i prymitywnych dźwigów.

Rewelacje Tellefsena nie spotkały się z przychylnym przyjęciem naukowców. Twierdzą oni, że amator-egiptolog zbyt mało daje dowodów na poparcie swej teorii. Natomiast papirusy i malowidła w grobowcach, współczesne powstawaniu piramid, ukazują jedynie pochylnie, nigdzie zaś nie ma śladu jakichkolwiek dźwigni.

Dyskusja nad wysuniętą przez Tellefsena teorią jeszcze trwa.

Przeciwwaga blok kamienny 2,5 t.

WIEK REMBRANDTA

Wystawa w paryskim Petit Palais zgromadziła obrazy zarówno Rembrandta jak i innych mistrzów malarstwa holenderskiego z końca XVI do końca XVII wieku. Tak więc obok mistrzów „wielkich" jak Rembrandt, Hals, Vermeer są tu obrazy mniej znanych artystów takich jak Berhey de, Ter Borch, Metsu, Steen. Wszystkie wystawione płótna należą do francuskich muzeów prowincjonalnych lub Luwru.

W PIĘĆSETLECIE URODZIN DÜRERA

Norymberga obchodzi uroczyście pięćsetlecie urodzin wielkiego malarza i rytownika, Albrechta Dürera, który urodził się w tym mieście w dniu 21 maja 1471 roku.

W ramach uroczystości „roku Dürera" otwarta zostanie m.in. wystawa dzieł artysty, która zgromadzi pięćset dzieł sprowadzonych z największych muzeów świata i kolekcji prywatnych. Trzynaście krajów obiecało wypożyczyć dzieła Dürera na wystawę norymberską. Jedna z ulic miasta zostanie tak udekorowana, aby przypominała średniowiecze, w którym żył artysta. Przewiduje się też m.in. szereg koncertów urządzanych przez najsłynniejsze orkiestry europejskie.

Spektakle tygodnia

	Spektakli	Widzów	Proc.
TEATR WIELKI			
„Orfeusz w piekle"	1	1260	100
„Faust"	2	2520	100
„Wieczór baletów polskich"	1	1260	100
NOWY			
„Zemsta"	4	2800	100
„Janosik"	3	1050	50
„Sprawa Dantona"	2	560	40
„Za siedmioma górami"	1	700	100
„Dziś do ciebie przyjść nie mogę"	1	700	100
NOWY — MAŁA SALA			
„Rodeo"	4	640	80
„W małym dworku"	2	400	100
POWSZECHNY			
„Profesja pani Warren"	1	668	100
„Lizystrata"	3	1980	100
„Zatopione królestwo"	2	1320	100
JARACZA			
„Jegor Bułyczow i inni"	2	1100	100
„Wszystko w ogrodzie"	2	989	96
„Placówka"	1	528	96
7.15			
„Łeztern"	3	2042	97
„O krasnoludkach i sierotce Marysi"	1	421	100
OPERETKA			
„Dama od Maxima"	7	6064	77
FILHARMONIA			
2 koncerty symfoniczne		1642	115

OD NIEDZIELI DO NIEDZIELI

NA TEN NOWY ROK

PIJMY SOK! KONWERSACJA JAKO PRZYSTAWKA — ZA CO PIJĄ OPTYMIŚCI? — ŻEBY WSZYSTKO GRAŁO — DRUGIE ĆWIERĆWIECZE — „PSZENICA JAK RĘKAWICA" — NIE WYSTARCZY NADZIEJA I SERCE — ŚWIATŁA NOWEGO ROKU.

„Na Nowy rok pijmy grapfruitowy sok" — nawoływał przed ćwierćwieczem prawie pewien wielki poeta, który — jak wiadomo — nie stronił od napojów nieco mocniejszych niż soki. Ów list otwarty adresował poeta do wszystkich wydmikufliów, gębochlejów, żłopaczy, tronkowych, bimbrowców, biboszów, trombitów, ochlapusów i oliwiarzy... Apel nie na wiele się zdał, bowiem do dziś przy biesiadnym stole króluje płyn o składzie chemicznym alkoholu. Jako przystawka natomiast — konwersacja. Głównie o sąsiadach, znajomych i ludziach znanych.

Ostatnio na przykład, usłyszałem opowieść o ślubie Znanej Prezenterki TV ze Znanym Aktorem. Na przyjęcie weselne zaproszono 120 osób i uzyskano pozwolenie Ministra Leśnictwa na odstrzał 12 bażantów... Ładne, co? Nieważne, że po pierwsze Znany Aktor jest żonaty, po drugie... nie powiem, po trzecie na odstrzał bażantów nie trzeba pozwolenia ministra. Ale temat — przystawka jest!

Tym, którzy ową „przystawką" — zbytnio szafują przepisuję przestrogę z książki siedemnastowiecznej, będącej zbiorem m. in. ówczesnych zasad savoir-vivre'u:

„Chcesz mieć sławę i gębę w całe (to jest w całości) nie wtrącaj się w mowy tobie nie należące, ażeby cię spytano: maszli się głupio ozwać — z odpowiedzią zamilcz".

Wskazania te i po trzystu latach nie straciły na aktualności.

Na ten Nowy Rok grapefruitowym sokiem niechże będzie wzniesiony toast. Optymiści za to, aby ten rok był lepszy od minionego — pesymiści za to, aby nie był gorszy.

Żeby plastycy i miłośnicy plastyki otrzymali galerię sztuki, żeby pisarze i ich czytelnicy otrzymali więcej papieru na książki, żeby polska szkoła filmowa nie była ani pirotechniczna ani „zawajdana" — tylko po prostu dobra. Że by o naszej gospodarczej „grze o jutro" nie myśleli futurolodzy lecz ekonomiści, żeby „wszystko grało" w kulturze, obyczaju i gdzie indziej...

Ten Nowy Rok 1971 będzie przecież rokiem szczególnym. Oto zamyka się pierwsze ćwierćwiecze Polski Ludowej, a zaczyna się drugie. Z jakim dorobkiem wchodzimy w to nowe ćwierćwiecze i z jakimi perspektywami? Co mamy w walizce osiągnięć, a co mamy w teczkach planów? Warto się nad tym zastanowić u progu nowej 25-latki, bo sprawy to poważne.

Sięgnijmy więc do starych, ludowych pieśni noworocznych, które i dziś są aktualne: „Żeby nam się rodziło — żytko jak korytko, pszenica jak rękawica, bób jak żłób, owies jak skopiec, len jak pień..." A do tych prostych rymów dodajmy i współczesne: „że by nam się mnożyły lasery i komputery, fabryki i „patyki" (ale nie te z etykiety, lecz te z Kopernikiem) żeby nam wyrastały wieżowce i punktowce — ale nie biurowce, bo tych chyba starczy..."

Konstanty Ildefons Gałczyński napisał przed laty „List noworoczny do ludzi z wiosek i miast" i zakończył go strofą:

„Że trudno? Hm. To nic.
To nic.
Grunt to nadzieja.
Więc zamiast znaczka na ten list
serce naklejam".

Piękne to i proste, ale nie wystarczy nadzieja i serce. Jeszcze potrzebna jest myśl strzelista i mądra, działanie z głową otwartą, umysły sprawne i ręce mocne... Za pomyślność funkcjonowania tych wielkich ludzkich wartości „na Nowy Rok wypijmy grapefruitowy sok".

I jeszcze:

„inżynierom za mosty
za szosy, za tunele
za noce z cyrklem bez snu
a rękom za cierpliwość
za wytrwałość, za uporczywość
spływającą w młot, w sierp
i w pług".

Felieton się zaczął niefrasobliwie, a kończy się podniośle. Tak jak każdy Nowy Rok. Po zabawie, po konwersacji biesiadnej zaczyną się codzienna żmudna praca. Zaczyna się tworzenie, budowanie, które nie jest zabawą, lecz sprawą poważną i podniosłą. I o tym warto pamiętać, kiedy zegar wybije dwanaście razy, kiedy tradycyjnie wygasimy światła, aby je zapalić już w Nowym Roku 1971.

JERZY WIDOK

Bez strachu

CO SŁYCHAĆ DOOKOŁA PANA?

Tym pytaniem uraczył mnie mój znajomy, starzec taktowny i roztropny... Dlaczego nie zapytał: Co słychać u Pana, albo zgoła — Co słychać? Tylko tak właśnie. — Co słychać dookoła Pana?... Tak, czy inaczej trzeba mu odpowiedzieć ściśle, precyzyjnie... We mnie, kiedy natężę słuch, słyszę stukot własnego serca, pomruk trzewi... A dookoła? Dookoła kroki i słowa innych ludzi, warkot motocykli i automobili i helikopterów. Stukot otwieranych i zamykanych okien. Tak odpowiadam na pytanie starca i odczuwam jego zdziwienie, rozczarowanie. Rozumiem, starzec zadał pytanie w sposób nieco przenośny... Mówię więc, że Jan mnie popiera, zwalczając zarazem Piotra, Jan zarazem pragnie mnie pozyskać do walki z Piotrem — ja zaś, korzystając z poparcia Jana, wzbraniam się uczestniczyć w dziele zwalczania Piotra, mniemam bowiem, że nadejdzie dzień pogodzenia się Jana z Piotrem i wspólnej ich akcji przeciw mnie. Zdziwienie słuchającego starca rośnie... Walka ta — zdaniem starca — to proces, który sobie wyobraziłem, a potem nasyciłem płodami własnej wyobraźni świat przedmiotowy. A on, mądry starzec, nie pytał przecież — Co Pan sobie wyobraża, lecz — co słychać dookoła Pana... Dookoła mnie? Ktoś przyszedł i zaproponował mi pracę na całym etacie, na połowie etatu. Ktoś inny powiedział mi, że Aleksander dybie na owe pół etatu, jego jednak — Aleksandra pragną pozyskać na jedną czwartą etatu. „Wnioskuję zatem" — krzyczałem do starca — „że moje sprawy stoją nieźle, mnie chcą uładzić połową etatu, o Aleksandrze tuszą, że nasycą go jedną czwartą... Znając zatem rzeczywistość, a ten zna ją tylko, zdaniem mędrców, kto zna ją matematycznie, wart jestem dwa razy tyle co Aleksander, chociaż, jeżeli spojrzymy na rzeczywistość historycznie, Aleksander nosi imię jednego z największych zdobywców w dziejach, a zdobyć może jedynie połowę tego, co zdobyć jestem w stanie ja, a ja zdobyć jestem w stanie połowę tego, co jest do zdobycia". Starzec słuchał w napięciu — widziałem, że bardzo pragnie mnie pojąć. „Ponadto mogę Panu powiedzieć z nowinek, że źle mówiłem do Brygidy o Jadwidze, a Jadwiga, która oczywiście otrzymała w tej kwestii przekaz na pewnych imieninach, powiedziała, że jestem człowiekiem niepewnym. Otóż, prawdę mówiąc, liczyłem się z możliwością przekazu — liczyłem jednak, że Jadwiga uściśli naturę owej niepewności i w ten sposób wzmocnię swoją pozycję, zadając jej kłam. Jadwiga jednak (przyznaję, że nie doceniłem jej), zrozumiała, że najgroźniejsze są oskarżenia enigmatyczne i teraz może sama, bądź w oparciu o tych, którzy pójdą za jej głosem, gotowa mnie wytępić... Nagle spostrzegłem, że mówię głośno sam do siebie. Gdzie starzec? Zobaczyłem go daleko, bardzo daleko, prawdę mówiąc, wziął nogi za pas, umykał z zadziwiającą szybkością. „Niech Pan zaczeka!" — wołałem. — „Tyle jeszcze ciekawych rzeczy słychać dookoła mnie!".

BERNARD SZTAJNERT

ROBERT TWOHY

Zbieg okoliczności

Pani Luckett stoczyła się po schodach z okropnym hałasem. — Jakby ciężka beczka — mruknął pan Luckett. Zatrzymał się u szczytu schodów i spojrzał w dół. Było tam ciemno, ale mógł doskonale rozpoznać ciało kobiety. Leżała zwinięta w kłębek w brzydkim płaszczu kąpielowym.

Luckett zszedł powoli do piwnicy. Zatrzymał się przez chwilę obserwując z zatroskaniem nieruchomy kształt. Wreszcie potrząsnął głową i szepnął: — Za pewne złamanie podstawy czaszki.

Nie dotknął trupa. Wiedział, że w przypadku gwałtownej śmierci nie należy dotykać zwłok. Miał już doświadczenie. Wrócił z powrotem na górę i poszedł do jadalni. Zajrzał do książki telefonicznej, nakręcił numer.

— Czy porucznik Chambers jest dziś na służbie?... Dobry wieczór, poruczniku, mówi Henryk Luckett... Tak, dobrze, dziękuję... Dzwonię do pana dlatego, że moja żona spadła ze schodów.

Słuchał głosu z tamtej strony. — Tak, obawiam się, że niestety tak... Nie, nie dotknę niczego. Nigdy tego nie robię... Do zobaczenia!

Pan Luckett poszedł do kuchni. Wypił filiżankę kawy z pianką i zjadł ciastko...

Przyszło ich wielu — policjanci, dziennikarze, lekarz. Badali zwłoki, fotografowali. Póź niej zadali mu wiele pytań i wreszcie sobie poszli.

Lecz porucznik Chambers, mężczyzna chudy, czarno ubrany nie odchodził. Siedział na tapczanie, w saloniku przeładowanym różnymi drobiazgami i przyglądał się bacznie panu Luckett.

— To już czwarty raz. Cztery żony, wszystkie zmarły śmiercią gwałtowną — stwierdził.

Pan Luckett, mały, łysy grubasek, siedział nieruchomo w fotelu. Drobne ręce miał złożone spokojnie na kolanach. I on także przyglądał się poruczni kowi niebieskimi oczami. Były to oczy człowieka, który zobaczywszy pająka na ścianie zdejmuje go ostrożnie na papier i zanosi do ogrodu.

— Mógłbym wszystko zrozumieć, gdyby chodziło o pieniądze — ciągnął dalej porucznik. — Lecz nie. Za pierwszym razem — owszem... stał się pan bogaty. Ale trzy inne kobiety nic panu nie pozostawiły, nawet asekuracji. Dlaczego pan to robi?

— Co, panie poruczniku?

— Pytam dlaczego pan je zabija?

— Ależ ja nikogo nie zabijam. To jest tylko zbieg okoliczności. Moim życiem włada jakiś tragiczny zbieg okoliczności. Sam tego nie rozumiem.

— Cztery gwałtowne wypadki śmierci. Chyba za dużo tych zbiegów okoliczności.

— Tak pan myśli, naprawdę? Ja mam własną teorię: niektórzy ludzie w jakiś dziwny sposób są uzależnieni od zbiegów okoliczności. W tym sedno sprawy.

— Pan usiłuje żartować, ale to gra niebezpieczna. A jednak fascynuje pana, prawda? Zaczy nam wszystko rozumieć, dopiero po dziesięciu latach.

— Dziesięć lat! To już tyle czasu przeszło?

— Dziesięć lat od pierwszego spotkania po śmierci drugiej pańskiej żony.

— Jak ten czas leci! Wolę o tym nie myśleć... Biedna Rozalia!

— To ja prowadziłem śledztwo w sprawie jej śmierci. Od pierwszej chwili naszej rozmowy zrozumiałem, że pan jest zabójcą.

Luckett uśmiechnął się. — Co panu nasunęło takie przypuszczenie?

— Pan sam. Pewne drobne aluzje, sposób zachowania się. Tak samo było za trzecim razem. I teraz, dziś wieczorem. Jest pan człowiekiem niezwykle sprytnym.

— Ja? Ależ skąd, pan mnie przecenia!

—Ma pan umysł bystry i przebiegły. I jest pan psychopatą. Czy pan wie o tym?

— Z tym nie mogę się zgodzić.

— Naprawdę? Siedemnaście lat temu wypadek z pierwszą żoną. Prowadziła samochód w pagórkowatym terenie, coś się w samochodzie zepsuło, nie wiadomo co. Ktoś widział jak zmagała się z kołem kierownicy. Zjechała z drogi i wpadła ze skarpy w dół. Auto się roztrzaskało, trudno było później ustalić, co w nim zostało uszkodzone. Odziedziczył pan majątek tak pokaźny, że może wystarczyć na całe życie.

Dziesięć lat temu — wypadek z drugą żoną. Spadła z okna trzeciego piętra, nikt nic nie widział, naturalnie!

— Biedna Rozalia. Wie pan, myślę nieraz, że Rozalia była mi najdroższą ze wszystkich żon.

— Cztery lata temu trzecia żona. Stoczyła się z tych samych schodów do piwnicy. A teraz czwarta, dziś wieczorem. To niemożliwe, żeby znów był zbieg okoliczności!

—To jest pańska opinia. Ale najważniejsze jest to: czy posiada pan dowody, które by pozwoliły oskarżyć mnie?

— Mogę pana oskarżyć. Proszę sobie przypomnieć sprawę „Żon w łazience", związaną z nazwiskiem J. Smitha.

Pan Luckett przytaknął. — Już pan był raz tak uprzejmy przypomnieć mi o tym strasznym zdarzeniu. Lecz brak tu porównania. Pan Smith był zbrodniarzem, a ja jestem ofiarą zbiegu okoliczności. Smith zaopatrzył się w wanny, w których topiły się jego żony. Odziedziczył majątek po śmierci każdej żony. Lecz ja jestem zamożnym człowiekiem. Jestem przekonany, że gdyby jeszcze jedna żona spadła z tych schodów, nie możecie mnie oskarżyć.

— Czy pan myśli posłużyć się znów tymi schodami? — zapytał porucznik ostrym tonem.

— Zdarzyło się dwa razy, kto może zaręczyć, że nie powtórzy się jeszcze raz?

— Pan jest chory! — krzyknął zdenerwowany Chambers. Wstał i skierował się ku drzwiom.

Luckett odprowadził go do samochodu. — Niech pan przyjdzie kiedy do mnie, pogadamy. Ale, byłbym zapomniał! Jest tu jeszcze inny zbieg okoliczności, który może pana zainteresuje. Nazywam się Henryk, już pan wie. Ale czy pan wie, że jestem Henrykiem VIII? Król angielski Henryk VIII miał sześć żon. Może i ja będę miał sześć? — Uśmiechnął się czarująco...

Porucznik Chambers udał się do prokuratora okręgowego.

— Luckett jest zbrodniarzem, recydywistą — oznajmił.

— Być może — odpowiedział prokurator. — Ale czego wymaga postępowanie sądowe? Dowodów! A pan ich nie posiada. Brak także motywów zbrodni.

— Ciągle o tym myślę, nie daje mi to spokoju — denerwował się Chambers. A wie pan dlaczego? Bo motywem ja jestem! Zabija, aby śmiać się ze mnie, z tego co reprezentuję: prawo, społeczeństwo. Odziedziczył majątek, siedzi w swej willi jak pająk w środku sieci. Wyobraża sobie, że jest geniuszem zbrodni, wie, że każde jego przestępstwo jest zwycięstwem nad prawem... Henryk VIII! Czy ma sens to, co mówię?

— Może ma, na przykład dla psychiatry.

— Właśnie. Czy pan wie, jak on je zabija? Popycha je... to wszystko. I zapewne znów się ożeni. Chce dojść do sześciu.

— Ależ nie może zabić sześciu kobiet i ciągle twierdzić, że to zbieg okoliczności...

Po kilku miesiącach Chabers spotkał pana Luckett.

— Poruczniku, jakże się cieszę, co słychać?

—Dziękuję. A jak z pańskim zbiegiem okoliczności?

—Jak zwykle nie opuszcza mnie. Ale tym razem był przyjemny. W zeszłym miesiącu byłem w Chicago i poznałem niezwykłą kobietę. Nazywa się Katarzyna. Czy pan pamięta, że piąta żona Henryka VIII nazywała się Katarzyna?

— Przypominam sobie, że król znalazł sposób, aby pozbyć się także i tej żony.

— Szkoda, że pan to mówi, to jest myśl nieprzyjemna. Naprawdę bardzo nieprzyjemna.

— A więc znów się pan żeni?

— Już się ożeniłem.

— Jest pan maniakiem!

— Poruczniku, proszę mówić ciszej. Mógłby ktoś usłyszeć... i byłbym zmuszony zaskarżyć pana o znieważenie.

—Jak długo jeszcze pozostawi ją pan przy życiu? Rok, czy miesiąc? Może zaraz ją pan uderzy?

Twarz Lucketta była spokojna i uprzejma jak zwykle. — Mam nadzieję, że nie stanie się nic złego.

— Lepiej, żeby już tym razem nie było sprawy ze schodami. Złożę wizytę pańskiej żonie i opowiem jej o wszystkim.

— Cieszę się bardzo. Lecz Katarzyna już wie.

Pan Luckett przybywszy do domu oznajmił żonie: — Porucznik Chambers z policji chce ci złożyć wizytę. Wymyślił sobie fascynującą teorię na temat mojej osoby. Uważa mnie za zbrodniarza, recydywistę.

— Chyba żartujesz, Henryku?

— Wcale nie. Z punktu widzenia jego zawodu moja przeszłość może przedstawiać się w złym świetle.

— Och, to tylko zbieg okoliczności! Nie chcę z nim rozmawiać.

— Porucznik pragnie cię ostrzec przed schodami, które prowadzą do piwnicy. Powie ci, że mogę cię tam zepchnąć. Czy boisz się mnie, Katarzyno?

— Ja? Ależ nie, co za pomysł!

Obserwował ją, uśmiechając się. — Kochałem moje cztery żony, wiesz o tym... lecz nie żyją. Mogłabyś i ty umrzeć.

Katarzyna potrząsnęła głową. — Ty nie jesteś zbrodniarzem...

Dwa dni później Chambers zadzwonił do drzwi państwa Luckett. Otworzyła Katarzyna. Była blada, ręce jej drżały.

— Czy pani Luckett? Jestem Chambers, pragnę zobaczyć się z pani mężem.

— Mówił mi, że pan przyjdzie. Jakie to dziwne! Miał rację.

Zaprowadziła go do salonu, usiadł w fotelu. — Dziwne? Co jest dziwne? — zapytał.

— Zbieg okoliczności. Fakt, że przyszedł pan właśnie w tym momencie. Henryk miał rację.

— Usiadła i zamknęła oczy.

— Może mi pani wyjaśni o co chodzi?

Kobieta nic nie odpowiedziała.

Chambers poszedł do kuchni, Drzwi do piwnicy były otwarte. Zszedł kilka stopni i zatrzymał się. Zobaczył, że ktoś leży na podłodze piwnicy. Zszedł na dół i przyklęknął obok ciała Lucketta. Zbadał puls, Luckett nie żył.

Porucznik wrócił do salonu. Kobieta nie poruszyła się.

— Jak to się stało? — zapytał.

— Poszedł szukać śrubokrętu... Usłyszałam krzyk i straszliwy huk. Poszłam zobaczyć, lecz nie schodziłam do piwnicy. Wiedziałam, że nie żyje.

To nie pierwszy raz, wie pan? Nie powiedziałam tego Henrykowi, mógłby się przestraszyć... Ten zbieg okoliczności jest fantastyczny!

—Nie rozumiem o czym pani mówi.

— I ja także byłam zamężna cztery razy... Właśnie jak on.

Porucznik był oszołomiony. — Jak się poznaliście?

— To dziwne... Na koncercie. Mieliśmy oboje ten sam fotel. Sprzedano dwa identyczne bilety. Doszłam do wniosku, że życie niektórych osób prześladuje jakiś tragiczny zbieg okoliczności. Wszyscy moi mężowie — czy pan mi uwierzy — wszyscy czterej moi mężowie zmarli stoczywszy się ze schodów...

Porucznik powstrzymał się, aby nie krzyknąć głośno.

OPRAC. A. S.

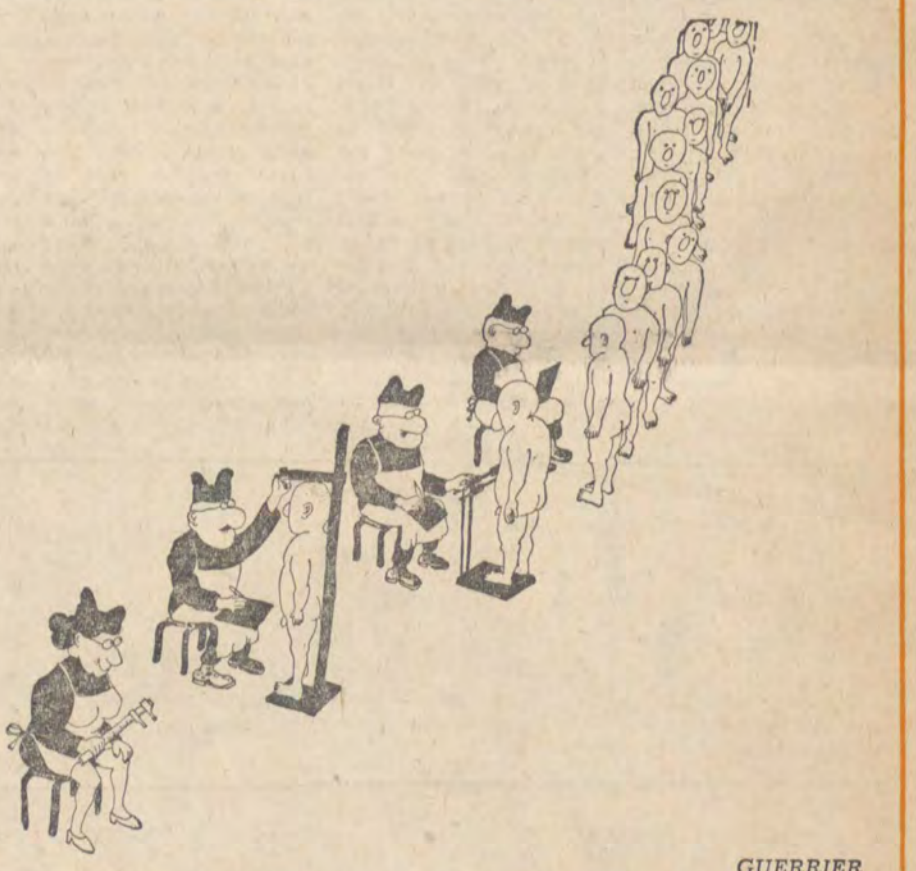

GUERRIER

Lewym okiem

BUDZIK I OMEGA

Kiedyś — czekając w kolejce u fryzjera — przysłuchiwałem się, chcąc nie chcąc, jego rozmowie z kolegą od sąsiedniego fotela. Fryzjer przyszedł właśnie z zewnątrz i przyniósł nowinę o zgonie któregoś ze stałych klientów.

— Umarł ten z przeciwka, wiesz pan? Ten taki wysoki, wesoły. Nie wiesz pan, który? Miał takie znamię na karku, tutaj...

— Ach, ten! — zrozumiał natychmiast rozmówca. Bowiem ze wszystkich cech osobistych człowieka, który brzmi dumnie, dentysta zapamięta najwyżej lewą trójkę z ubytkiem, a fryzjer — malutkie znamię na karku, ukryte przed całym światem.

Takim jednym przypadkowym zdaniem ujawnia się nagle specyficzne, środowiskowe spojrzenie na świat. Toż to najczystsza egzotyka! Potrafi tę egzotykę eksploatować literatura, to na takiej właśnie fali — wychwyconej jak gdyby z miliarda fal krzyżujących się w eterze — wypłynęły powieści typu „Zaklętych rewirów" — o kelnerach, „Strachy" — o tancerkach rewiowych „Pigularz" — o farmaceutach, „Wisła" — o flisakach, nowela Marka Nowakowskiego o chuliganach i złodziejach i setki, setki innych. Zechciejcie zauważyć, jak często powieści pozbawione mocnego nasycenia atmosferą i stylem jakiegoś konkretnego środowiska, przede wszystkim zawodowego, są albo powieściami o ludziach żadnych, mdłych, wymyślonych, albo po prostu o ludziach ze środowiska pisarskiego, jedynych, znanych bliżej autorowi. Ich specyfiką jest właśnie wszystkoizm, eklektyczność, patrzenie z boku. Lusterko, przechadzające się gościńcem, jak mawiał Stendhal.

Sprawy codzienne i oczywiste, uwagi najzupełniej utylitarne, robocze, praktyczne dla fachowca, brzmią jak anegdota dla osób postronnych, jak metafora i złota myśl — dla kogoś o wyczulonym literackim słuchu. Z paru zdań pewnego starego zegarmistrza można by — wydaje mi się — zbudować świetną filozoficzno - groteskową humoreskę, chociaż zostały powiedziane całkiem po prostu i na serio. Zegarmistrz mówił tak:

— Panie, zegarek i zegarek. Całkiem jak ludzie, panie. Taki budzik, weź pan: chodzi głośno jak dzwon, wszędzie go słychać, wystarczy zapragnąć chwili ciszy — on już jest i psuje wszystko. Werk ma z blachy, panie. Ale byle kto go, panie, nakręci, i już dzwoni, aż się ściany trzęsą. Budzików ludzie nie znoszą, one są potrzebne tylko raz na dobę, i to w roli wrednej. Psują całą przyjemność, panie. A weź pan omegę: wcale go nie słychać. Malutki, dyskretny, ale solidny. Nie rąbie tak jak budzik, robi swoje bez przerwy i to o ileż dokładniej. Obaj robią przecież w gruncie rzeczy to samo: mierzą ten sam czas, nie? No widzisz pan.

Nie lubię budzików. Mój własny ukryty jest w pokrowcu, nakrywany gazetą lub skarpetką — innego sposobu na takich nie ma. Nieraz zdarzy mi się puścić pod jego adresem wiązkę męskich epitetów, kiedy zaszczeka w połowie snu, albo najlepszej, cichej, nocnej lektury, albo kiedy ni z tego ni z owego zatnie się w nocy i nie zaszczeka wcale, choć człowiek tylko na to liczył, zasypiając beztrosko. Przyjaciel powinien być pomocny zawsze: usypiać, kiedy zasnąć nie mogę, iść za mną krok w krok jak kieszonkowy drogowskaz, przypominać o sprawach ważniejszych niż sen i lektura delikatnym trąceniem w ramię, nie chamskim jazgotem, nie liczącym się z nikim i z niczym, nawet z tym niewinnym jamnikiem zza ściany. Budziki nie są przyjaciółmi nikogo. Mają blaszany werk.

Ponieważ jednak miało być o ludziach i ich niezmiernie różnym na świat spojrzeniu — kończę frazę zegarkową.

ĆWIEK

Redaguje zespół: Jan Koprowski (redaktor naczelny). Karol Badziak (dział terenowy). Konrad Frejdlich (dział publicystyki). Roman Łoboda (kier. działu literackiego). Andrzej Makowiecki (dział reportażu), Celina Paluch (redaktor techniczny), Włodzimierz Stokowski (zastępca redaktora naczelnego). Jerzy Wilmański (dział kulturalny). Teresa Wojciechowska (sekretarz redakcji), Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi Adres redakcji Łódź, ul. Piotrkowska 96, telefony: 244-79, 217-98 oraz 293-00 wewn. 29, 39, 40 41 i 42. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6.50 zł, kwart. 19.50 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa", Łódź, ul. Żwirki 17. Zam. 2705. H-10.